

Julian Kawalec
(1916-2014)

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXI Nr 10(242) Żelów, październik 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Sergiusza Jesienina, Janusza Koniusza, Teresy A. Ławeckiej, Maksymiliana Tchonia, Barbary Tylman

Andrzej Dębkowski – *Przepraszam!*

Leszek Żuliński – *Od Homera do Ławeckiej*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Poetyckie doświadczenie skończoności człowieka oraz Powrót poety do świata bajecznego dzieciństwa*

Stefan Jurkowski – *Magiczna dźwigienka*

Andrzej Bartyński – *Jaki piękny dzień*

Joanna Friedrich – *Geometria papilionaria*

Marek Jastrząb – *Po-ranne noce*

Kazimierz Ivosse – *Ten drogi Lwów*

Anna Dominiak – *OB według Dudzińskiej*

Dariusz Pawlicki – *Góra milczenia*

Emil Biela – *Jak blisko czy daleko nam do Jerozolimy?*

Janusz Orlikowski – *Dlaczego celibat?*

Paweł Kuszczynski – *Pożegnanie Tomasza Wincentego Rzepy*

Małgorzata Dębkowska – *Kolory Afryki w Żelowie*

Magdalena Kapuścińska – *Efemeryczność w poezji Teresy Wolskiej Gęścjarz*

Wydarzenia, Informacje, Imprezy

Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy

Kronika, Witryna



Z cyklu: „Pejzaże polskie”

Foto: Andrzej Dębkowski

Kronika

80. rocznica urodzin Agnieszki Osieckiej

9 października mija 80. rocznica urodzin **Agnieszki Osieckiej**, poetki, autorki tekstów piosenek, pisarki, reżyserki teatralnej i telewizyjny, dziennikarki. Zmarła 7 marca 1997 roku.

Nagroda imienia Franciszka Karpińskiego

Pisarz **Wiesław Myśliwski** otrzyma tegoroczną Nagrodę Literacką im. Franciszka Karpińskiego. Zdecydowała o tym obradująca w Białymstoku kapituła tego wyróżnienia.

To 22. edycja konkursu. Nagroda zostanie wręczona laureatowi na początku października w Białymstoku.

Myśliwski, autor takich powieści jak „Kamień na kamieniu” czy „Traktat o łuskaniu fasoli”, został uhonorowany za „najwyższej próby twórczość powieściową, która odsłania metafizyczny wymiar istnienia człowieka” – napisała obradująca w poniedziałek kapituła nagrody.

Nagroda imienia Franciszka Karpińskiego nadawana jest przez okręgowy oddział Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Białymstoku. Po raz pierwszy przyznano ją w 1995 roku. Zdobył ją wówczas ks. Jan Twardowski. W minionych latach laureatami nagrody byli, m.in.: Ewa Lipska, Ernest Bryll, prof. Anna Świderkówna, prof. Irena Sławińska, prof. Teresa Kostkiewiczowa, Marek Skwarnicki i prof. Stefan Sawicki.

Patron nagrody, XVIII-wieczny poeta Franciszek Karpiński, autor siałenek („Laura i Filon”), twórca znanych pieśni religijnych – m.in. „Kiedy ranne wstają zorze” i „Wszystkie nasze dzienne sprawy” – był związany z Białostoczną.

Nagroda Literacka Gdynia

Poznaliśmy laureatów 11. edycji Nagrody Literackiej Gdynia. W tym roku Kostki Literackie powędrowały do Michała Książka, Barbary Klickiej, Macieja Płazy i Anny Wasilewskiej.

Jury Nagrody Literackiej Gdynia nie miało tym razem łatwego zadania: do konkursu zgłoszono aż 402 tytuły. Ostatecznie wybrano 20 nominowanych – po pięć tytu-

łów w każdej kategorii: esej, poezja, proza i przekład na język polski.

Decyzją członków kapituły, tegoroczna Nagroda Literacka Gdynia trafiła w ręce czworga nominowanych. W kategorii esejistyka otrzymał ją Michał Książek za esej „Droga 816”.

– *Nagrodziliście państwo książkę, która wzięła się z chodzenia, patrzenia, niezadowolenia i rozczarowania fizyką, teologią, chemią, a także z wrażliwości, która rzadko bywa nagradzana* – mówił Książek, dziękując za wyróżnienie.

W kategorii poezja uhonorowano Barbarę Klicką za tomik „Nice”, natomiast w kategorii proza – Macieja Płazę za książkę „Skoruń”.

– *Jestem tak wzruszony, że nie powiem nic mądrego* – mówił Płaza. – *A jeśli chodzi o moją książkę, to narodziła się ona z niełatwej miłości do tego, kim byłem kiedyś i do ziemi, z której pochodzę; ciemności, która jest we mnie i w świecie i z żalu, czymkolwiek on jest.*

W kategorii przekład na język polski zwyciężyła Anna Wasilewska i jej nowe tłumaczenie „Rękopisu znalezione go w Saragossie” Jana Potockiego.

Kolory Afryki w Zelowie

Śpiewamy tak, jak czujemy i jak potrafimy – mówią o sobie członkowie zespołu Claret Gospel. Śpiewamy o wszystkich kolorach Afryki, a w szczególności naszego kraju – Wybrzeża Kości Słoniowej; o miłości, pokoju, radości, ale i o kolorach, które bardzo bolą: wojnie, niesprawiedliwości, bezradzie. Oczekujemy od was, abyście zapłakali razem z nami kolorowymi łzami radości i smutku...

Swoim entuzjazmem i żywą, żarliwą wiarą zachwycają Polaków. Zelowską publiczność zachwycili już w 2013 roku, kiedy po raz pierwszy wystąpili podczas koncertów festiwalowych. Podobnie było 6 września br. na koncercie realizowanym przez Dom Kultury w ramach współorganizacji projektu kulturalnego pn. „Spotkania z muzyką i słowem – XXII Koncerty Festiwalowe Zelów 2016”.



Zespół rozpoczął koncert barwnym rowodem, ze śpiewem i w rytualnym tańcu, niosąc do ołtarza chleb, owoce i ziarna zbóż. Z wielką radością wykonywał utwory w językach lokalnych Wybrzeża Kości Słoniowej, w języku francuskim, angielskim i polskim. Ta radość od samego początku udzieliła się również licznie zgromadzonej publiczności, która wspólnie z zespołem śpiewała *Rivers of Babylon* z repertuaru zespołu Boney M., hymn ŚDM *Błogosławieni miłośnicy*, czy tytułowy utwór oratorium Roberta Grudnia *Bóg Ciebie ochrzcił, Bóg dał Ci siłę*. Wykonaniom towarzyszyły afrykańskie instrumenty: kalebasty, grzechotki, tam-tamy, balafony oraz organy, na których grał Robert Grudzień.



Claret Gospel został założony przez misjonarzy klaretynów o.o. Romana Woźnicę i Andrzeja Kobylńskiego, pracujących na Wybrzeżu Kości Słoniowej od ponad 20. lat. Chórzyści znajdują się w różnych sytuacjach życiowych; niektórzy z nich studiują bądź pracują, inni poszukują pracy, by znaleźć środki do życia. Na co dzień śpiewają w różnych chórach kościelnych. Trudna sytuacja w kraju nie przeszkadza im jednak robić tego, co kochają – wielbić Boga z wielkim entuzjazmem i radością.



Tak właśnie było w Zelowie. Zapelniony kościół, rozmodlona i roztańczona publiczność, niecodzienne spotkanie, niepowtarzalny koncert, a zarazem świadectwo wiary i uwielbienia Boga. Grupa Claret Gospel pokazała jak śpiewem i tańcem modli się Afryka.

Małgorzata Dębowska



Marek Jastrząb

Po-ranne noce (17)

W nich dostrzega sens. Jednak wie, że sens uprawiania publicystyki jest wtedy, gdy ma ona odbiorcę i autor może liczyć na rezonans. A od czasu nazwania gomulłkowskiej ekipy dyktaturą ciemniaków, niszczone go prasowym milczeniem. Początkowo cenzurowały go partyjne myszołowy, w późniejszym okresie dołączyli do stada gnębieli bojaźliwi obrońcy praworządności z „Tygodnika Powszechnego”.

Pisze zatem poza PRL, omijając polityczny parnas bęcwałów w walonkach, drukuje u Giedrojcia, w zaciszu paryskiej Kultury, po zaściankowej prasie, w małonakładowych, emigracyjnych gazetkach wydezynfekowanej z rzeczywistości PRL. Jest mało słyszalny, a jeszcze mniej – rozumiany. Z kim by nie gadał, wszędzie jest sam: traktowany z lekceważeniem przez przyjaciół z opozycji, a przez wrogów z aparatu – jak niebezpieczny awanturnik na furiackich papierach; obcy z powodu swojej przenikliwości, wypowiada i o jednych i drugich sądy ostre, bezwzględne, budzące namiętny sprzeciw. I nie tylko o ludziach jest złego zdania, bo i na temat państw wyraża się krytycznie: z uporem przechodzącym w manię twierdzi, że Zachód jak zwykle nie rozumie Wschodu i jest wobec niego nieustraszenie uległy.

Jego teksty nie są letnie, a zawsze kontrowersyjne. Przepojone polemicznym żarem, pisane z ogniem, nie odnosiły spodziewanego skutku. Choć niekiedy jest to ogień przygaszony nazbyt przedłużającym się stresem, rosnącym poczuciem klęski, bezskutecznym mówieniem do głuchych, pisaniem w kagańcu, tłumaczeniem ażurowym umysłem tej prawdy, że są zniewolone, trawione korozją pamięci. Dlatego ma przygnębiające wrażenie daremności pisania, adresowania ich do ludzi ogarniętych przez samonakręcające się psychozy, żyjących pośród obłudy, przeinaczeń i zakłamej historii, kreatur pogodzonych ze swoim egoizmem, wegetujących z nawyku do śniętego spokoju, zadowolających się złudzeniami, minimalną stabilizacją i kluczeniem pomiędzy świeczką, a ogarkiem.

Wtedy z „Dzienników” przebija gorycz, smutek niespełnienia. A także towarzyszy im zwiększająca się świadomość przemijania lat spędzonych na daremnym OCZEKIWANIU. Na co? Choćby na społeczne refleksje i normalne życie, na swobodę wypowiedzi, brak paszportowych dylematów czy zaspokojenie głodu nieskrępowanych podróży.

Wtłoczony w duszną izolację, zmęczony szarpaniną z karłowatymi ludźmi, od których zależał los jego publikacji, wieczny frustrat,

sceptyk, cynik, ironista i pesymista w jednej osobie, boleśnie odczuwa zmarnowany czas. Jako niespokojny, polemiczny, niesforny duch i moralizator z powołania, stale popada w twórcze rozterki: broni się przed krasomówczym hamletyzmem i jałowym pustosłowiem, a dostrzegając śmieszność swojej sytuacji, kpinkuje z siebie, bo ma uczucie, iż jest jak skryba bez pióra, inkaustu i kałamarza, muzyk bez słuchu i weny, krótko mówiąc: gaduła ukarany milczeniem.

Ratuje się więc ucieczką w zjadliwy chichot ze wszystkich, którzy wrobili go w ten paszlet. Chroni za parawanem szyderstwa.

Opędza przed napadami wściekłości, dostrzega absurd pisanego do szuflady, chodzenia na kompromisy, tworzenia pod pseudonimem, nonsens poruszania tematów zabronionych, ponieważ wie, że i tak nie będzie mógł opublikować tego, co mu w duszy gra.

Na kartach „Dzienników” porusza temat własnej jesieni życia.

Powraca do tego wątku bardzo często, wręcz natrętnie, co jest w miarę zabawne, zważywszy, że o swojej rychłej śmierci i starczej demencji mówi w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, a czeka go jeszcze dwadzieścia wiosenek z dużym hakiem.

„Dziennik” jest dla czytelników niewyczerpaną kopalnią wiedzy o postaciach, z którymi się spotyka. O ludziach reprezentujących różne dziedziny kultury. Muzykę, prozę, poezję, filozofię, publicystykę. Mówi w nim o znanych i nieznanach wydarzeniach przytaczając fakty z przemijającej epoki. Starczy wymienić kilku: Bacewicz, Penderecki, Lutosławski, Miłosz, Kołakowski, Słonimski, Iwaszkiewicz, Putrament, Gombrowicz, Bartoszewski, Gołubiew, Eile.

Jak umie, tak pisze, a że umie doskonale, to pisze z werwą, przekornie i błyskotliwie, z miazdzącą inteligencją, nie patyczkując się doborem słów, nie stroniąc od kolokwializmów, cytatów i przysłów, unikając ekwilibrystyki znaczeń; prosto z mostu.

„Dzienniki” powstają w ukryciu, w zeszytach, z myślą o późniejszej książce, o druku w sprzyjających warunkach. I myśl ta jest motorem, siłą napędową tworzenia zapisu. Jest też jedyną sposobnością pozostawienia po sobie świadectwa pełniejszego niż doraźna, mocno ocenzone bazgranina w reżimowych gazetach, gdzie musi się powściągać, ważyć słowa, mówić szyfrem.

Nie dlatego, by kogoś nie urazić, ale dlatego, by nie zamknąć sobie drogi do dalszych wypowiedzi. Natomiast w dziennikach nazywanych przez niego żółciowymi, pozwala

sobie na swobodę ciętych sformułowań, puszcza się na hazard politycznych spekulacji, intymność zwierzeń i nieskrępowane osądy. Często kroć brutalne, niezasłużone, szczere do przesady, sprawiające przykrość ludziom z którymi ma na co dzień do czynienia.

Nie oszczędza w nich nawet przyjaciół i, pomimo przykrych doświadczeń, wciąż nie potrafi powstrzymać się przed wyrażaniem swojego zdania. Wynikają z niecierpliwości, rozczarowań i rozgoryczeń. Są więc dla niego zastępczą formą istnienia, ucieczką przed postępującymi, fizycznymi deklamacjami wieku, odtrutką na życie z cenzurą, artystyczną rekompensatą za osobiste niepowodzenia i zachodzące w nim, biologiczne procesy; w nich jest oswobodzony od tombakowych i zezowatych myśli.

A jednocześnie te niesprawiedliwe opinie o przyjaciółach zdają się sprawiać mu radość, bo jako waleczna istota lubi się przekomarzać. Lubi czytać ich rozjuszone repliki. Na przykład zaczepony przez niego Tyrmand odpowiada z gryźliwym opisem jego postaci i charakteryzuje go jako zapijaczonogo niechluj z fryzjerskim wąsikiem. Na co, dokumentnie uszczęśliwiony Kisiel, wyraża się o Tyrmandzie z wielką czułością. Z czego płynie wniosek, że kruk krukowi nie nasobaczy pod ogon.

Życie do lustra

W dni szczególnie przybywamy z odległych stron. Opowiadamy – wśród drinkujących zwierzeń i niegłębokich rozmów – o zdarzeniach wysupłanych z przeszłości, wylażają nam z szarych komórek zapodzione anegdotki, barwne szczegóły słuchane w towarzystwie milusińskich, a pikantne momenty, gdy dziatwa śpi. Podniosłe ubrani, odprężeni, w otoczeniu rodziny oglądanej nieczęsto, krokiem dumnym i godnym idziemy na spotkania, imprezy, uroczyste zjazdy. Przepelnieni wewnętrznym blaskiem, nastawieni do świata przychylnie, siadamy za stołem czekając na spóźnialskich. Wyglądamy ich, aż przyjadą zmarznięci, gdy zaczną opowiadać, co u nich, co z synem, gdzie córka, jak im się powodzi. Grzejąc się herbatą mówią nam o tych, co nie mogli przyjechać i o tych, którzy nie przyjadą już nigdy.

Poważniejemy. Zamyślamy się nad losem, który ich nie oszczędził. Myślimy z czułością o tych, którzy jeszcze są wśród nas.

(Dokończenie na stronie 4)

Po-ranne noce

(Dokończenie ze strony 3)

Przypatrujemy się sobie nawzajem, oceniamy, porównujemy spustoszenia dokonane przez los. Ten się posunął, choć nadrabia miną, ów zmarniał i wysechł na wiór, ta pmiął odchodzi, przemija i wrasta w zmierzch. A niektórych widzimy nie widząc ich wcale; są ubogimi krewnymi, zamglonymi figurami nieznanymi wujów i dalekich cioc. Są z nami, bo tak nakazuje obyczaj. Skuleni w sobie, milczący i nieobecni duchem, zamazani w pamięci, przyjechali zakłócając ogólny, sielankowy nastrój braterstwa, sympatii, zabawy pokropionej nalewką. Mają odwieczne problemy, ale nie mówią o nich, gdyż nie ma komu. Próbowali, lecz odsuwano się od nich. Dzielili się nimi, lecz nie pasowały do szynki, klóciły się z deserem, z „czym chata bogata”. Wkrótce pojedą do siebie, do „wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej”. Wnet powrócą do swoich syzyfowych dramatów, do swoich szarych zmagania, do nieznanego człowieka za ścianą, by znowu żyć do lustra, by, jak opłatkiem, łamać się ze swoimi zmartwieńiami. I w tym wstydlwym nastroju ktoś oznajmia, że pora coś zjeść.

Rozpoczyna się. Na stół zasłany serdecznością wjeżdżają tradycyjne potrawy, i sły chać łapczywe siorbanie, milczkiem żwawe chłęptanie, i dzwonią sztucce wyciągnięte z kredensu. Jedzenie ma jednak swój kres, więc rozpoczynają się rozmowy i chóralne śpiewy. Z początku smutne i nieśmiałe, lecz z każdym kieliszkiem nalewki – żywsze i coraz bardziej do tańca, niż różańca. Siedzimy swobodnie, już nie tak sztywno i oficjalnie, trawimy leniwie, bez pośpiechu, bo następnego dnia mamy wolne i możemy się zabrać za spanie do południa.

A po deserze i maluchu na drogę, wracamy żegnając się do następnego razu. Obiecujemy, że będziemy do siebie pisać częściej, utrzymywać ze sobą żwawsze kontakty. Całujemy się na schodowej klatce, ale tuż po wyjściu, zapominamy o wzruszeniu sprzed chwili, bo oto stajemy na wprost człowieka, którego co dnia dostrzegamy na przystanku. Zapędzony i nieprzystępny wczoraj, dzisiaj zatrzymuje się na nasz widok, traci swoją anonimową twarz i nagle okazuje się jednym z nas, raptem chcemy go poznać bliżej. Traktujemy go ciepło. Zauważamy jego postać, ale, ogarnięci procentową czułością, już następnego dnia nie możemy sobie przypomnieć, skąd go znamy i czego od nas chciał.

Wydaj książkę i zdechnij!

Muszę się poddać konserwacji, ponieważ ostatnio jeszcze bardziej niż kiedyś dostrzegam brak sensu w swojej pisaninie; męczę się

własną niechęcią przekonywania kogokolwiek do czegośkolwiek.

Ręce mi opadają, krew burzy przekrwione oko i czuję się jak nieproszony gość zakłócający drzemkę czytelnika. Nie mam pojęcia, kogo jeszcze mogę zainteresować swoimi wywodami.

Stałem się nudny, marudny, natrętny, monotematyczny i furiacki. To tyle w temacie SAMOKRYTYKA.

I w tym momencie zacząłem sobie przypominać, ile książek, bezcennych, a zbutwiałych starodruków nawet, ile arcydzieł literatury światowej udało mi się wydrzeć z lochów niejednej składnicy surowców wtórnych! Po godzinach oficjalnej pracy, kierownik placówki wpuszczał mnie na zaplecze i pozwalał (za ćwiartkę czystej) uprawiać wysokogórską wspinaczkę na wierzch papierowej hałdy i gdy on leżał u jej stóp, ja bawiłem się w archeologa omijając co grubsze szczury na ołowiowej diecie. A gdy magazyn był już przegrzebany, budziłem faceta i szliśmy do wagi. Kładłem na niej urobek, czyli wszystkie znalezione książki, a gość mi je sprzedawał. Cena była taka, że jeśli wszystkie ważyły pięć kilo, to w zamian musiałem mu przynieść pięć kilo gazet.

Tym sposobem wszystko się zgadzało i dzięki temu ja miałem sporą bibliotekę, on zaś - porządek w burdelu.

Czasy się zmieniły i funkcję makulaturowych magazynierów przejęły urzędy od odmawiania pomocy, wsparcia i dawania literatom popalić. Dla nich też nie było różnicy między książką, a papierzyskami. Sprytni ludzie zwiertzyli interes i wzięły sprawy w swoje ręce: zaczęły otwierać się na potrzeby wygłodniałego społeczeństwa. Kwitła więc produkcja bubli i na masową skalę powstawały rachitycznie wydawnictwa. Tak jak niegdyś w byle garażu siedział na skrzynce od piwa przyszły komputerowy Gates, teraz w byle internetowej piwnicy siedział sobie WIELMOŻNY PAN WYDAWCA i czekał na frajera z kasą. Czyhał na reflektantów i łyskał brylantyną niewiedzy. Naiwny klient wpadał mu w szpony i z drżącym rękopisem w rozłatanych rękach kucał z zachwyty, bo na wstępie dowiadywał się, że spłodził wiekopomne arcydzieło, które rozejdzie się w mig, a jak dobrze pójdzie, to jeszcze szybciej. Za co PAN HANDLARZ ręczył osobistym honorem.

Zanim przyszły noblista zrozumiał, że wydawca nie mógł go przeczytać, bo jeszcze niczego nie opublikował, już był ugotowany na miękko i gładko łykał kolejne banialuki. Jedną z nich była informacja, że nie poniesie kosztów, bo kosztami obarczy się sponsora. Tyle że sponsor jak raz wyjechał do Berdyczowa na zamkniętą kurację i zamiast niego może skorzystać z usług obywatela Komornika, na którego konto należy wpłacić marne grosze w liczbie trzech tysięcy złotych plus VAT. Tyle samo, albo o dwa złote mniej plus VAT, uścić należy w księgarni, by książka nie powędrowała do ciemnego kąta, lecz znalazła się na miejscu, gdzie ją widać. Przy czym za

widok książki uplasowanej pod sufitem, buli się mniej, niż za widok teje pomieszczonej na wysokości oczu zezowatego kurdupla. Ale najdroższe są miejsca w sąsiedztwie półek z rankingowymi bestsellerami, czy pornusami.

Tam aż kotłuje się od oglądających, cmo-kających i odchodzących z kwitkiem. Na długich, chłodniczych ladach spoczywają komiksy, krzyżówki, rozmaite SF, magazyny pełne okrutnych narracji, ckwicznych opowiadaniek zajeżdżających bajkową scenografią, emfaticznych historyjek prowokujących do tarcia oczu i pociągania nosem, aromatyczne pomady w harlequinowskim stylu, jakieś kolorowe thrillery, fabularna przędza na wyczerpanym papierze, przygodowe rachatlukum, biesiadne tańce i hulanki z tasakami, garkotłukowy chłam, natomiast powieści Wojdowskiego, Kuśniewicza, Nałkowskiej lub Berezki próżno by szukać; księgarski subiekt nigdy o takich nie słyszał, no a w instrukcji obsługi klienta nie ma przepisu, by znać produkty przeterminowane.

Owszem, jeżeli autor nie wydoi finansowo i zrezygnuje z wywieszania się w księgarni, może cały swój nakład pierdyknąć pod wyro i pobawić w komiwojażerkę. Ale uwaga: od tego również potrącany jest podatek na roz-bój kultury.

Różnica między stroicielem fortepianów a kompozytorem, należy do namacalnych namacalności i oczywistych oczywistości.

Ala jak jeden bez drugiego nie może istnieć i oboje są fachowcami w swoich branżach, to kompletnym nieporozumieniem jest zamiana ich ról. Zanim pękniemy ze śmiechu, wyobraźmy sobie, że do Bacha przychodzi naprawiać klawisz, siada za instrumentem, wyniośle i bezceremonialnie strofuje mistrza pouczając go w sprawach polifonii, a na deser wręcza mu instrukcję obsługi piszczałek pod tytułem zreperuj je sam. Albo Beethovena, jak idzie do sklepu, kupuje parę desek, pół tony gwoździ, zanoszą do domu i zbija sobie klawesyn.

Podobnie w literaturze: jeden jest oprawiaczem książek, a drugi je pisze. Tak jak jeden jest kulturalny, a drugi pracuje w kulturze.

W tym miejscu zaczyna się robić poważnie, bo zdajemy sobie pytanie: kim jest obecny artysta, człowiek uprawiający zawód literackiego biznesmena? I odpowiadamy natychmiast: to figura na wskroś pragmatyczna; już nie twórca, lecz jeszcze nie człowiek interesu. Ot, złota rączka niepewnego geszeftu.

cdn.

Marek Jastrząb



Mniej Więcej (140)



Foto: Zofia Mikula

Od Homera do Ławeckiej

Niemal dokładnie rok temu numer 128. tego cyklu recenzenckiego poświęciłem niewielkiej książeczce **Anny Łozowskiej-Patynowskiej** pt. „Historia pewnego lustra”. Była to analiza twórczości poetyckiej Teresy Aliny Ławeckiej, autorki dwóch tomików: „Oddaj moją twarz” (2010) i „Ogród niezapominajek” (2012). Przypominę: autorki niewidomej. I oto nasza znakomita krytyczka wydała kolejną książkę o Ławeckiej pt. „Dotykając tekstu”.

Leszek Żuliński

Postanowiłem i tę książkę tu zaanonsować, ponieważ mamy do czynienia z pięknym ewenementem. A mianowicie: mało pisze się o kalekich twórcach, więc chyba warto poświęcić im uwagę, gdy to się nadarza. Łozowska zaś – jak widzimy – jest konsekwentna w swojej „misji”. Domyślam się, że chodzi tu nie tylko o empatię, ale też o opisanie procesu i efektu twórczego dziejącego się w okolicznościach „niestandardowych”. O tych sprawach pisze się niewiele. Sądzę, że jeśli Łozowska podtrzyma swoje zainteresowanie nimi, to stanie się specjalistką od tej niszowej i mało znanej literatury, która przecież jest, a którą my – „widomi” – rzadko kiedy dostrzegamy. Jeśli już, to wiemy co nieco o osobliwym przypadku – *toutes proportions gardées* – Borgesa.

Łozińska na początku tej drugiej książki, związanej z twórczością Ławeckiej, przede wszystkim przekonuje nas, jak potężna jest potrzeba ludzkiej kreatywności, skoro mimo przeszkód jej się nie tłum. W gruncie rzeczy wystarczy „tylko” znaleźć inne narzędzia. Dlatego m.in. zrodził się alfabet Braille’a.

Łozińska pisze: *Literatura pozwala ludziom z różnymi niepełnosprawnościami wykonywać rzeczy, których fizycznie nie są w stanie czynić.*

Mowa tu o wymiarze terapeutycznym i profilaktycznym tekstu literackiego. Literatura zmienia człowieka. Literatura ocala człowieka. Takich kwestii nie wypowiada się codziennie. Zmienić się z nimi i wypowiedzieć własnymi ustami potrafią tylko ci, którzy stali się na nią szczególnie wrażliwi. Literatura zobowiązuje człowieka do nieustannego trwania, niepoddawania się wszelką cenę. Mistyczna funkcja literatury polega na zbliżeniu się do życia. I to życia prawdziwego, dalekiego od beczynnego trwania. Koncepcja liryki, jaką stworzył romantyzm, staje się podłożem naszych rozważań. To ona nadaje ludzkiemu życiu sens, do pewnego stopnia nawet je udoskonala.

Teresa Alina Ławecka stała się tu asumptem do tego typu rozważań. Ja w tym felietoniku pozostawiam ją „na boku”, ponieważ zbyt mało wierszy tej autorki znam, jej nowego tomiku nie czytałem, ale widzę, że ubiegłoroczna praca Łozowskiej, i ta obecna, zanoszą się na rzadką u nas „podspecjalność” autorki *Historii pewnego lustra* i *Dotykając tekstu*. Zbyt mało, zbyt rzadko zajmujemy się kreatywnością osób upośledzonych.

O Ławeckiej, pomijając kwestie teoretyczne, jednak dużo się tu dowiadujemy.

Kolejny cytat: *Człowiek jest twórcą literatury, pankreatorem, tworzącym ex nihilo. Ale tylko literatura wciela w człowieka wiarę niezbędną do duchowej egzystencji. A działa to, tak jak u Ławeckiej, w następujący sposób: człowiek poszerzając swój horyzont czytelniczy, rozpoczyna dyskusję z literaturą, która przekształca się w rozmowę metaliteracką. Literatura zmienia negatywne nastawienie człowieka do swojego życia i otoczenia. Ale tekst to nie tylko informowanie świata o tym, kim jestem. Literatura daje świadectwo przetrwania człowieka w człowieku, który uważa, że dawno już się wyczerpał, skończył, spacyfikował do udziału w świecie.*

Kocham Łozowską za takie właśnie refleksje. Z jednej strony są one zakorzenione w psychologii i teorii literatury, z drugiej w refleksji egzystencjalnej. Tajemnica kreacjonizmu bywa bardzo zindywidualizowana, jednak w przypadku osób upośledzonych zapewne krąży w jeszcze bardziej zawiłym labiryncie. Rzadko i mało o tym się pisze.

Zastanawiałem się, czy Łozowska ma rację, pisząc iż *bycie w tekście i z tekstem to najważniejsza potrzeba człowieka*. W przypadku twórców – bezdyskusyjnie. Ale może w przypadku każdego – tyle, że nieświadomego tej potrzeby. Myślę, że Ławecka należy nawet do grupy „nadświadomych”. Bowiem dla takich osób twórczość jest zapewne ogromną „wartością dodaną”, poniekąd rekompensacyjną. Pojęcie *ersatzu* brzmiałoby tu niemiłe, lecz i on wchodzi w rachubę.

Łozowska idzie jeszcze dalej. M.in. pisze: *Teresa Ławecka pisze historię człowieka, który istnieje w świecie znaków, w przestrzeni rozrastającego się w nieskończoność tekstu, który wcale swoim ogromem go nie przytłacza, lecz przedłuża swoje istnienie. Tekst u Ławeckiej to*

szczególnego rodzaju akt sakralny.

W dalszym toku tej niewielkiej książeczki autorka wchodzi w szczegóły, których już tutaj nie rozwijam. Nie wiem, jak bogata jest na ten temat literatura, lecz wiem, że wywołanie tego tematu to ważna sprawa. Milczeliśmy latami. Może teraz to zacznie się zmieniać? Między Homerem a Ławecką w sumie mało i rzadko o tych przypadłościach myśleliśmy. A szkoda!



Anna Łozowska-Patynowska, „Dotykając tekstu”. Wydawnictwo Jasne, Pruszcz Gdański 2016, s. 40.

Teresa A. Ławecka

Niespokojne dusze

Pogrążenie w zadumie poeci
Krażą w labiryntach pamięci
Szukają dramatu i komedii
Swoich bohaterów
Ubierają w uśmiech łzy
Prowadzą przez łąki i wrzosowiska
Rzeczywistość stroją w fantazje
Przebudzeni
Szumem gałązek wikliny
Melodią fujarki
Tęsknotą za prawdą
Zostają podmiotem lirycznym

Trwałość

Łzy niebios
Wsiąkają w starą gazetę
Porzuconą
Na ulicznym śmietniku

Beztronski wiatr
Z trudem unosi ludzkie tragedie
Poddane
Rozkładowi zapomnienia

Janusz Koniusz

Dary mędrców

Synowi cieśli i gospodyni domowej
z Nazaretu

przed triumfalnym wjazdem
przez ósmą bramę Jerozolimy
do królestwa ziemskiego
przybyli na wielbłądach
mędrzy z Zachodu i Wschodu
o nieustalonej nigdy tożsamości
ze żłobka wyciosanego w betlejemskiej stajni
zbijają krzyż pański
na ostateczną śmierć
i pierwotne zmartwychwstanie
grób wykują w skale
by się na zawsze
urodził

Słowo

Od stworzenia świata na niczyje
podobieństwo

próżnię sobą zaludnia
pełen łaski

Po wygaśnięciu słońca
w wielkim wybuchu nicości
z jego ciała i krwi zmartwychwstaniemy

To będzie ostatnie słowo ewolucji
wypowiedziane przez Boga

Ryba

Z Araratu na przemokłych płetwach skrzydeł
spłynęła do Morza Czarnego
żeby nie widzieć potopu pod żadną postacią
w ziemi powietrzu i niebie

Wygnana na bezrybną głębię samotności
bez prawa do rozmyślań na tematy
eschatologiczne

codziennie staje oko w oko
z zawsze przedwczesną
burzą morską
śmierci

Do chwili

Verweile doch! Du bist so schön
Goethe

Chwilo trwaj
o chwilę dłużej
i rozdawaj siebie
prosił poeta
w swojej
ostatniej chwili

Nie posłuchałaś
dumna i próżna
w każdej chwili
zakochana w sobie

Wieczność
skazała cię
na wieczną chwilę

Księgi

Od złota mądrości
ciężkie jak kamienie młyńskie dziejów
na każdą porę pisane
ręką Mojżesza Buddy
i legionu prawdziwych proroków
nigdy nie zamykają
natchnionych ust z czerpanego papieru
by nie było wątpliwości
iż mamy do czynienia z najwyższej próby
fizyką życia i metafizyką odejścia donikąd

Wodoodporne ogniotrwałe
przechowujemy w elektronicznych sejfach
żeby przed aukcją nikt w ich głębie nie zajrzał
gdyż cena każdego woluminu spadłaby
o połowę

Dom

Zbudowali go z arki przymierza
według dziesięciorga przykazań
Drzwi otwarli na oścież
bym o każdej porze
buty zdjął ciężkie od drogi
i usiadł przy stole
Ojca swego czcił matkę swoją
Okna wstawili z widokiem na pustkowie
żebym w dzień i w nocy
cudzych rzeczy nie miał na oku
ani cudzej żony
Rozłożyli stół na dwanaście osób
abym z każdym się dzielił
owocami ziemi wody i powietrza
Z wszystkich kątów złe duchy wymietli
bym w gniewie ręki nie podniósł
na bliźniego swego i siebie samego

Bezradny stoję przed progiem
za wysokim na moje nogi
przykute do kamiennych tablic

Ucieczka

Przed wszystkożernym gruntem
po drabinie Jakubowej
uciekłem pomiędzy obłoki poety
które nigdy nie przestaną płynąć

Z zachwytu nad kulą ziemską
runąłem w grzęzawisko grawitacji
skąd ani nogi wyciągnąć ani ręki

Spotkanie

Ona nie ona na kamiennej drodze przypadku
Jakby wypchnięta
poza obrys pomarszczonej pamięci
nagle jedną struną wymówiła mi w twarz
wiersz do niej o dozgonnej miłości
o którym na śmierć zapomniałem

W przygluchej ciszy zaległej pomiędzy nami
wstydzilem się tamtego wiersza
i siebie dzisiaj

Barbara Tylman

Usprawiedliwienie

Mężowi

Przecież nie mogłam tam być
bez ciebie. Samotnie chodzić brzegiem
obcego morza. Grzęznąć w rdzawym piachu
płyży zostawiając w nim odciski stóp.

Słuchać
wrzaskliwych mew walczących o kawałek
zruczonego chleba. Na spotkanie zachodu
słońca wybiegać szeroko otwartymi oczami.
Wysyłając myśli, które jak bumerang

wracałyby
od ciebie. Uwięziony w czterech ścianach
patrzysz
na wciąż te same obrazy w telewizorze. Tyle
że pod
innym kątem.

Przecież byłoby to niezgodne z przysięgą.
Że na zawsze. Na dobre i złe.
I, że cię nie opuszczę.

Podejrzane

Ta grząska ulica gdzie
pod czerwonym wiatrakiem
dziewczyny o mięsistych
czerwonych ustach a faceci
w skórzanych płaszczach pomiędzy
papierosami cedzili słowa
jeszcze istnieje choć jakoś mniej
Kawiarnie pękają w szwach od dymu
i lanego piwa wieczorną porą do Opery
chodzi się w zdeptanych pepogach
dżinsach i swetrach
kwiaty w gazonach więdną już
z samego rana
W Parku Wilsona ławki przydatne
starym i młodym bezrobotnym
snują się jak psy bezpańskie pary
bezdzielne i bezpłciowe

Ech, poeci. To już inne pokolenie
o czym jeszcze mogą pisać którzy
nie widzą co widzą

Osiedlowa Julia

Jesteś Julią
dwudziestego pierwszego
wieku
stoisz na balkonie z papierosem
i telefonem
komórkowym

w pobliżu Romeo jeden drugi
piąty z puszkami piwa
nawołują – zjedź do nas

na samo dno

Przystań

Podczas bezgwiezdnych nocy
pokochałam moje miasto
Te ulice śpiące twardo nim słońce
niebo uczyni błękitnym
przytulone w głębokich niszach
wiekowych kamienic gołębie
z nieustającym godowym gruchaniem
i na oścież bram otwarte paszcze
do których zaglądam w nadziei
na nagłe czegoś odkrycie
Lubię nawet złudzenie że słyszę
tętent i rżenie zmęczonych podróżą koni
i kwiaty na klombach wciąż pachnące
choć deszczu od dawna ani na lekarstwo

Obiecałam sobie że kiedyś to miasto
będzie moją ostatnią przystanią

Julia z XIV piętra

Kiedy miasto zasypia
ulice stają się martwe słońce
zachodzi krwawiąc
– lubię takie wieczory

W samotni
mojego balkonu
jestem Julią
lecz na kochanka
nie czekam

Wpatrzona w horyzont
wypatruję namiętnie
jak dopełnia się dzień
i czekam aż przywołany
moją tęsknotą
nadejdzie nowy

Terazniejszość

Andrzejowi Dębkowskiemu

Jakim nazwać czas, w którym
przyszło żyć. Jak poznać, czy ten
sprzed lat, to ten sam, a wszystko

obok inne. Bo przecież dorośli nie całkiem
dojrzały. Z tytułami inżynierów w kolejkach
do pośredniaków stojąc zgrzytają zębami.
Będąc sługusami w obcych zdradzają
kraj swoich ojców.
Szpitalnymi korytarzami człapią
błądzący rycerze. Pękate koperty nie spełniają
oczekiwań aniołów w błękitnych szatach.
Więzienne cele pełne matek,
które potraciły rozum.

Jakim stał się czas, w którym
człowiek nagle w zawieszaniu.

Ślad róży

Najpierw dokładnie zaplanowała
tramwajową trasę. Z rozmysłem
wyzaczyła przejazd, aby w pamięci
zapisać co zawsze kochała.
Na bilety wydała ostatnie
ukryte w zanadrzu złotówki.
Wysokie piętro, z niebem
w otwartym na oścież oknie,
jadąc oszkloną windą
wybrała świadomie.
Tylko wyciągnąć rękę i dotknąć
nieskalanego błękitu.

Swoje czterdziestoletnie życie
zwieńczyła purpurową różą.

A mówią, że na betonie
kwiaty nie rosną.

Maksymilian Tchoń

Oddalenie. Poemat.

usiedliśmy w domu, przed domem
na ławce z ażurowego tworzywa,
świat miał się kończyć zachodząc
hebanowym niebem. na linii brzegowej
naszej przystani cumowało wiele łodzi,
były to najprawdopodobniej zagłóweki
czeskiego pochodzenia, odarte feerią
ze skórzanego anturazu.

ciche odgłosy września przenikał
pot ze spalonego słońcem ciała. nasza
matka ziemia wydobywała ostatnie
westchnienia przygranicznego torfu.
i my, i my pogodni, ciągle lecz bez
ustanku słuchaliśmy swoich słów.
Artur przeczytał mi wiersz:

ja asceta mowy
próżny rzemieślnik pióra
zdobywca stłumionych marzeń
piszę dziś do ciebie to wyznanie

i czynię to moim językiem
pokrętnym

dlatego wybac mi
moją nieobecność w twych ramionach
dajmonionie niech stanę przed *tobą*
ja
spocony podróżą człowiek
obawiając się o moje słowa
niewypowiedziane

niech wiotkie i czyste dłonie
zbudują dziś most na grani a mój
upór napisania głupiej robinsonady
albo na wzór Świetlickiego 49
wierszy o wódce i papierosach ostudzi
twoją chrapkę na papierową miłość

tysiąca porażek i miliona zwycięstw
a my przeczytamy *Panie* List do pozostałych
i jak Stachura znów wykrzyknę:
„niech żyje życie!” „niech żyje życie!”

– nie pomyślałabym nigdy, że byłby
w stanie napisać tak subtelny wiersz.
nasze cienie zlewały się w jeden. takie
trofea, które zdobywał jeszcze za czasów
licealnych można by wliczyć do księgi
rekordów Guinnessa. ba do swojego
dzienniczka. mały chłopczyk a już
interesuje się stolarką, moja babcia
mawiała – byłiby z niego ludzie.
zmierzch zaznaczał się coraz bardziej,
a my nieporównywalnie wtuleni w pędzie
gwiazd liczyliśmy swoje wiosny.
tak mało a zarazem dużo... krzesła
pokoju kreśliły krajobraz otaczającego
ogniska. spokój towarzyszył nam
na każdy sposób. spokój rozpościerał
dłonie, zbrudzone węglem kominka –
spokój odarty z rozpachy. spokój ducha.
spokój... pokój otwierał się na
nieznane krainy,

dał, a ja trzymając
krucyfiks w ręku odliczam prostacko:
pycha charakteru
chciwość duszy
nieczystość ciała
zazdrość zmysłów
nieumiarkowanie w jedzeniu i picu.
Panie nad swoim
istnieniem, ośmielam się mówić
tylko oko w oko słowami:
raduję się że mogę
brać udział

w tym ziemskim „dziwowieku” –
jak wiesz wszystko posiada kolce
a dalej już choćbym chciał –
nie umiem



Dariusz Pawlicki

Góra milczenia

Wypatruję tej góry, gdy tylko znajdę się w miejscu, z którego Jej dostrzeżenie jest choć trochę prawdopodobne. A to, że mieszkam w mieście, którego południowo-zachodnie rogatki dzieli od Niej około 30 km, sprawia, iż prawdopodobieństwo tego jest duże. I to nie tylko wtedy, gdy przebywam na przedmieściach sąsiadujących z polami i łąkami, ale i kiedy, we wspomnianym kierunku spoglądam z okna jakiegoś wysokiego, niczym nie przesłoniętego budynku.

Szukam Jej w pejzażu również wówczas, gdy pociągiem, autobusem bądź samochodem osobowym udaję się na zachód lub południe. Zupełnie jakby była magnesem i to magnesem szczególnie. No bo przyciągającym wzrok, a szczególnie mój. Mało czyje oczy tak często na Nią bowiem spoglądają, są przyciągane przez Nią, jak właśnie moje. Zdecydowana większość ludzi, a zwracam na to uwagę, omiata Ją jedynie wzrokiem. Co najwyżej przystaje na chwilę, aby stwierdzić czy tego dnia jest bardzo wyraźnie widoczna czy też ledwie, ze względu na, chociażby, ranne mgły.

Ona, jakaś góra. Czyli...?

Czyli Ślęza. Ona, albo też masyw, którego jest dominującym punktem. Z całą pewnością nie jest górą wysoką. Bo cóż znaczy 718 m.n.p.m. w porównaniu, choćby, z 1638 metrami, jakie mierzy Śnieżka, najwyższy szczyt, nie tak odległych, Karkonoszy, jak i całych Sudetów (zresztą niektóre ich pasma można podziwiać ze szczytu Ślęzy).

Rzecz jednak nie w wysokości bezwzględnej, to znaczy mierzonej od powierzchni morza; trzeba ją bowiem znać. O wiele istotniejsza jest wysokość względna – mierzona od podnóża, w tym wypadku, podnóża góry. A ta druga w przypadku Ślęzy wynosi przeszło 500 metrów. I właśnie dlatego robi Ona tak duże wrażenie na kimś, kto Jej się przygląda z pewnej odległości. Ale faktem jest też i to, że nie byłoby tego wrażenia, gdyby w Jej sąsiedztwie znajdowały się jakieś inne odosobnione wyniesienia; powiedzmy, o niewiele niż ona mniejszej wysokości względnej. Rzecz jednak w tym, że oddalając się od Niej w kierunku zachodnim, wschodnim i północnym, takowych się nie zobaczy. Natomiast spoglądając na południowy-zachód ujrzy się, porośnięty lasem wał, jaki tworzą Góry Sowie. Ale jest on oddalony od Ślęzy o około 18 kilometrów. Nieco więcej kilometrów, bo około 25, dzieli Ją od Gór Bardzkich. Tak więc patrząc na Nią, widząc otaczającą ją równinę, jak i wspomniane pasma górskie stanowiące dla

Niej tło (tła, zauważa się) dostrzega samotność owej góry.

Bycie dominantą wobec pewnego obszaru, przyciągającą wzrok, to jedno. Czym innym, ale łączącym się bardzo ściśle z tym pierwszym, jest kontekst symboliczny, religijny związany z najwyższymi szczytami tych czy innych pasm górskich, jak i odosobnionymi, samotnymi górami. U wszystkich bowiem ludów, które miały kontakt, przede wszystkim jednak wzrokowy, z górami, były one miejscem szczególnym. Jako, że znajdowały się najbliżej nieba, a gdy były bardzo wysokie, były w nim wręcz zanurzone. Ale czy tak czy siak, były nie tylko siedzibami bogów, ale stanowiły sferę szczególną – w niej bowiem dochodziło, w pewnych określonych sytuacjach, do spotkań bogów/Boga z ludźmi. W minionych czasach góry nie były więc, jak to obecnie ma miejsce, symbolem transcendencji, sfery sakralnej, nie uosabiały *sacrum*. A nie były dlatego, że po prostu stanowiły To, co symbol (jedynie) zastępuje, przywodzi na myśl. Były także związane z bardzo konkretną rzeczywistością, w której przejawiały się transcendencja i sakralność.



Ślęza, widok od północnego-zachodu.
Fot. Dariusz Pawlicki.

Związek sfery sakralnej z górami był tak silny, że tam gdzie ich nie ma, na przykład na znacznych obszarach Mezopotamii, wznoszono budowle do nich nawiązujące. Czego przykładem mogą być zikkuraty sumeryjskie i babilońskie, które wieńczono świątynią. Ale każda góra, oprócz tego, że była/jest siedzibą bogów/Boga, symbolizuje m. in. „stałość, niewzruszoność; światło; pępek świata; [...] drogę do nieba, raju, czystości, piekła; zmartwychwstanie, objawienie; miejsce kultu, pielgrzymek; mistykę, samotność, mądrość, wzniosłe myśli; miejsce medytacji; pokój, swobodę; życie ludzkie” (Władysław Kopalinski, *Słownik symboli*, Warszawa 2006).

* * *

Pomysł napisania szkicu, a może nawet eseju, poświęconego Ślęzy, już od dłuższego czasu zaprzętał, z rozmaitym intensywnością, moje myśli. Zaprzętał je, gdyż, jak zaznaczyłem na samym początku, góra ta z niezwykłą „siłą” przyciąga moją uwagę, wręcz absorbuje ją, gdy tylko znajdzie się w polu mego widzenia. Lecz choć czas płynął, i to w postaci nie tylko dni, tygodni tudzież miesięcy, jakoś nie chwyciłem za pióro, aby przelać na papier moje przemyślenia związane z tym tematem. Aż pewnego dnia natknąłem się, oczywiście nieprzypadkowo, na wzmiankę, że w dwunasto- i trzynastowiecznych dokumentach Ślęza skrywa się pod łacińskimi nazwami: monte Silencii i monte Silentii. Ale obie te wersje, przetłumaczone na język polski, znaczą to samo – Góra Milczenia. A jest to, jak dla mnie, nazwa tajemnicza, wręcz bardzo tajemnicza. Zabarwiona jeszcze dodatkowo jakąś mrocznością. I właśnie ta nazwa była impulsem, na który, jak się o okazało, czekałem (nie wiedząc, że czekam), aby zacząć pisać. Bo dzień po poznaniu owej nazwy przystąpiłem do pisania szkicu zatytułowanego właśnie *Góra Milczenia*.

* * *

Nie będę pisał z jakich skał Ślęza jest zbudowana, a także wymieniał obiektów, głównie zabytkowych, znajdujących się na Jej wierzchołku, jak też na zboczach. Nie wspomnę również o gatunkach roślin Ją porastających, jak też o zwierzętach, na jakie można natknąć się przemierzając ścieżki i drogi leśne, których gęstą siecią jest opleciona. Pisanie bowiem o powyższych sprawach, to znaczy jakby bezpośrednio o samej Ślęzy, byłoby tym samym odzieraniem Jej z tajemniczości, jaką wyczuwam, nie tylko zresztą ja, gdy na Nią patrzę (w o wiele mniejszym stopniu, kiedy przebywam na Niej). Byłoby też równoznaczne ze sprowadzeniem tego, co z tą górą kojarzę, do jakiegoś leksykonu podającego suche, wręcz przesuszone, dane/informacje. A przecież nazwa Góra Milczenia do Czegoś zobowiązuje. Także, jak uważam, do milczenia w pewnych sprawach.

* * *

Góra ta, jak parokrotnie wspominałem, przyciąga spojrzenia. Ale nie tylko je, bo i pioruny. Trudno o drugie takie miejsce na Śląsku, a na Dolnym Śląsku na pewno, w

którym dochodziłoby do, aż tylu burz z wyla dowaniami atmosferycznymi. Ślęza pełni po prostu rolę ogromnego odgromnika. Sprzyja temu oczywiście Jej osamotnienie (może jednak nie tylko ono?). A jak najbardziej warto jest obserwować pioruny rozjaśniające Jej sylwetę i kierujące się ku wierzchołkowi zwieńczonemu, niestety, masztem (138 metrów) telekomunikacyjnej stacji przekaźnikowej.

Ta góra szczególnie zasługiwała na to, aby traktować Ją jako świętość (niektórzy nadal tak do Niej się odnoszą). A to, chociażby, ze względu na wspomnianą częstość występowania nad Nią burz. Miejsca, w które uderzały pioruny, a cóż dopiero, gdy tak często, uważane były bowiem za święte. Do tego w religiach Celtów, Germanów i Słowian, którzy naprzemiennie, a niekiedy równocześnie, zamieszkiwali, bezpośrednie i nieco dalsze okolice Ślęzy, pioruny i bogowie nimi władający, odgrywali niezwykle istotną rolę.

Ale po pierwszym, wręcz zachwycie nad łacińskimi nazwami Ślęzy występującymi w dokumentach średniowiecznych, pojawiło się pytanie: dlaczego była Ona nazywana Górą Milczenia? Dlaczego właśnie Ślęzę tak nazywano, jakby inne góry/szczyty nie były milczące? No bo jeżeli milczeniem jest „niewydawanie głosu, nieodzywanie się, bezsłowna cisza”, to każda góra jest Górą Milczenia albo Milczącą. Niby tak, a jednak...

Może kilka wieków temu ktoś wrażliwy, przemierzający pieszo, wozem bądź konno rozległą równinę, nad którą dominowała samotna góra, a spoglądał na Nią raz po raz, nagło wyszeptał, znał bowiem łacinę: monte Silentii bądź monte Silencii? Gdy wypowiadał te dwa słowa, lekki uśmiechnął zniknął z jego twarzy. A tak właśnie nazwał tę górę, gdyż Ona, za sprawą swego osamotnienia rzucającego się natychmiast w oczy, skłaniała do zadawania pytań; wręcz je wymuszała. Lecz nie udzielała odpowiedzi...

Może tak było, a może zupełnie inaczej. Nie mogę wykluczyć jednak i tego, że znawcy Ślęzy wiedzą, co stoi za wspomnianą nazwą, co jest jej źródłem. Ale ja, mimo, że jestem miłośnikiem tej góry, takowej wiedzy nie posiadam. Lecz niech Ona dalej będzie tajemnicą, przynajmniej dla mnie. Niech milczy, nie odpowiada/nie opowiada. A ja obym nie uległ, teraz i później, imperatywowi wyjaśniania/tłumaczenia. Niech właśnie Ślęży dotyczy, może wyłącznie w tym tekście, to, co angielski poeta romantyczny John Keats nazwał* Zasadą Negatywności (ang. *negative capability*). A chodzi o „zdolność wytrwania w niepewności, wątpliwości, tajemnicy, bez irytującego ustanawiania faktów i przyczyn...”.

* W liście do swych braci, Toma i George'a, napisanym po zobaczeniu Szekspirowskiego *Ryszarda III*.

Dlaczego celibat?

Tylko jedno zauważenie, a tyle poczyniło. W Ewangelii św. Mateusza Jezus wypowiada słowa: (...) *są także bezzenni, którzy ze względu na królestwo niebieskie, sami zostali bezzenni*. Jedynie to, a i w Starym Testamencie są tylko nieliczne wzmianki o osobach pozostających w celibacie, np. Bóg Jahwe zaleca Jeremiaszowi, aby nie brał sobie żony, natomiast, by tak powiedzieć, z własnej woli żył w nim prorocy Eliasz i Elizeusz. Z kolei w początkach naszych czasów, chrześcijańskich drogę tę wybrali Jan Chrzciciel, Jan Ewangelista, a także św. Paweł. Ten ostatni, opierając się z pewnością na tym wspomnianym, jednym zauważeniu, pisał: *Tym zaś, którzy nie wstąpili w związku małżeńskie, oraz tym którzy owdowieli, mówię: dobrze będzie jeśli pozostaną jak i ja, przy czym zaznacza na wstępie swojego wywodu tego listu, że: każdy jest obdarowany przez Boga inaczej*. Te wcześniejsze, z ewangelii św. Mateusza, oraz te z *1 Kor 7.8 i 1 Kor 7.7* słowa jednoznacznie pokazują, że brak jest u źródeł powstania chrześcijaństwa jakichkolwiek przesłanek, aby celibat był obowiązkiem księży, biskupów, itd., którzy są po to, by zostać pośrednikami między wiernymi a Jezusem Chrystusem, w trójcy jedynym Bogiem. W ewangelii mamy *są także bezzenni, u apostoła Pawła wprawdzie stwierdzenie dobrze będzie jeśli pozostaną jak i ja, lecz wcześniej zjawia się zastrzeżenie: każdy jest obdarowany przez Boga inaczej*. Wydawać by się mogło, że jest ono niejasne i może dotyczyć na przykład różnych talentów danych przez Boga poszczególnym osobom. Jeden urodził się prorokiem, drugi natomiast cieślą, tym niemniej w oczach Wszechmocnego tak samo są ważni. To rozumowanie jest tu jednak błędne, gdyż wywód dotyczy *caelbes* właśnie. Wprawdzie dalej są również słowa: *Człowiek bezzenny troszczy się o sprawy Pana, o to jak mu się przypodobać. Ten zaś, kto wstąpił w związek małżeński, zabiega o sprawy świata, o to, jakby się przypodobać żonie, tym niemniej widzi to Apostoła, na bazie własnych doświadczeń, jako ze swej strony zalecenie, w żadnym razie nie jako nakaz, że tak mu zostało objawione. Są także bezzenni, słowa Jezusa według św. Mateusza, przypominają mi znane powiedzenie z wiersza Wisławy Szymborskiej niektórzy lubią poezję. Niektórzy, czyli nie wszyscy, czyli są właśnie tacy*.

Tak się jednak stało, że 11 listopada 1563 roku w kanonie IX z 24 sesji Sobór Trydencki w dekrecie o sakramencie małżeństwa, stwierdził: *Jeśli ktoś powie, że klerycy którzy otrzymali święcenia, lub osoby które uroczą się przysięgły czystości, mogą zawierać małżeństwo(...) niech będzie wyłączony ze społeczności wiernych*. Określił on celibat jako bardziej szlachetny wybór od małżeństwa w słowach: *Jeśli*

ktos mówi, że stan małżeński powinien być traktowany wyżej nad stan dziewictwa czy celibatu i że nie jest lepsze i bardziej święte pozostać w dziewictwie czy celibacie niż zawrzeć małżeństwo, niech będzie wyklęty ze społeczności wiernych. Sobór Trydencki to czas końca średniowiecza, jego przesilenia, dekadencji by rzecz można, a z tym związane są pewne, historycznie, jako częścią czasu wiecznego, uwarunkowane przyczyny, ale o nich za chwilę. Wspomnieć bowiem należy o tym, że w kościele katolickim, w okresie jego początków żonaci mężczyźni byli dopuszczani do święceń. Wprawdzie ukształtował się zwyczaj spontanicznego celibatu, który z upływem lat zaczęto traktować jako obowiązek i stąd biskupi zebrani na synodzie w Ancycie w roku 314, w kanonie 10 ogłosili: *Diakoni, którzy w chwili przyjmowania święceń zadeklarowali i stwierdzili, że chcą zawrzeć małżeństwo, gdyż nie mogą żyć w celibacie, jeżeli później ożenią się, mogą nadal pełnić swe funkcje, ponieważ biskupi udzielili na to zgody. Ci jednak, którzy nie zgłosili zastrzeżenia i przyjęli święcenia zgadzając się zachować bezzenniść, a później się ożenili, powinni zostać złożeni z funkcji diakańskich*. A zatem poczyniona została dowolność co do tego, czy pośrednik między Jezusem a wiernym może mieć żonę, czy też nie, lecz wcześniej z jego strony musi pojawić się deklaracja wobec przełożonych, czy ma zamiar mieć żonę lub nie. Tu da się już zauważyć pewne działania władzy mające na celu po pierwsze kontrolę nad tym jaki status przyjmie przyszły sługa Boga, a po drugie i z pierwszego wynikające, czy czasem ten, który chciał się ożenić nie był traktowany jako, by można powiedzieć, „wyrzeczony pewnego niezadowolonego zwierzchników”. Kojarzą mi się czasy nie tak bardzo odległe, kiedy to ten, który nie chciał przystąpić do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej przez prominentów był widziany z miną pewnej dezaprobaty, czy niechęci. Porównanie z pewnością dość drastyczne, czy jednak w jakiś sposób nie oddaje tu istoty rzeczy.

Nie będę już tu wspominał orzeczeń kolejnych synodów czy soborów, jak sobór Nicejski wymierzony w konkubinaty, synod w Kartaginie, który podobnie jak ten w Ancycie nic nie nakazuje, sugeruje. Natomiast zatrzymać się należy na dniu 11 listopada 1563 roku, kiedy to ogłoszono z całą stanowczością celibat jako nakaz pod groźbą *niech będzie wyklęty ze społeczności wiernych*. Mało tego ta groźba była również wymierzona w tych, którzy mówią że *stan małżeński powinien być traktowany wyżej nad stan dziewictwa czy celibatu i że nie jest lepsze i bardziej święte pozostać w dziewictwie czy celibacie niż zawrzeć małżeństwo*. Sobór Trydencki „załatwia” tu od razu dwie sprawy. Po pierwsze reguluje prawnie bezwzględny zakaz stosunków seksualnych dla osób duchownych, a po drugie określa stan kapłański jako hierarchicznie wyższy od małżeństwa. Dlaczego i na jakiej źródłowej podstawie? Konia z rządem

kto na drugą część postawionego pytania odpowie. Co do pytania – dlaczego?, nasuwa się tylko jedna odpowiedź. Chodzi o utwierdzenie we władzy, jakby ona wtedy była nie wystarczająco duża. Ba, jakby przecież i dziś, osoba duchowna, kapłan nie był pośrednikiem pomiędzy wiernym a Jezusem, a tym samym w sposób naturalny jest duchowo hierarchicznie wyżej i nic tego nie zmieni, jeżeli wiara ma mieć sens. Natomiast te słowa w sposób bezpardonowy mówią, że kapłaństwo z racji sprawowanego urzędu jest władzą, a wierny poddanym. Tym sposobem realizuje to relację pan – niewolnik. Stawia jednego człowieka ponad drugim dla własnych a nie duchowych korzyści. Następuje więc tu przesilenie, przekroczenie granicy; obraz człowieka, który nie zna miary. Napełnienie duchowego dziedzictwa średniowiecza ponad brzegi jego naczyń. Ktoś powie, że rok 1563 to już okres renesansu, że tamten zakończył się w roku 1450, czy 1492, a w najlepszym przypadku w 1517, bo historycy nie są zgodni co do daty i wciąż są wokół tego spory. Historycznie można powiedzieć, że tak, lecz w istocie ustalenie początku renesansu utrudnia fakt, że do różnych krajów dotarł w różnym czasie, a w żadnej dziedzinie kultury w jakimkolwiek rejonie Europy nie wyparł do końca form średniowiecznych. Poza tym czas ziemski mierzony historycznie a mierzony tradycją to zupełnie co innego. Ten drugi zawsze o wiele bardziej się spóźnia i nie nadąża, natomiast kościół katolicki nigdy nie był prekursorem, a wręcz odwrotnie; notabene, co nie zawsze dawało negatywne skutki. Tu jednak mówię o tym po to, aby dać przekonanie o tym że była to mentalnie ziemską czasowość przesilenia średniowiecza, jej jesieni jak się to dziś groteskowo określa, bo przecież była to zima i to sroga. Jak wspomniałem, napełnienie ponad brzegi naczyń, a zawartość jeszcze się nie wylała, by metaforycznie określić. Dlaczego jednak zwracam tak szczególną uwagę na ten aspekt przesilenia średniowiecza? By nie potępiać, a unaocznic duchowy klimat jaki wówczas panował, chociaż od osób w hierarchii tegoż właśnie stojących wyżej można oczekiwać bliższe spotkania z czasem wiecznym. Nie mnie jednak sądzić, tym niemniej Prorok sam stoi w obliczu sądu, który głosi. Jeżeli tego nie wie, jest fałszywym prorokiem – jak pisze Reinhold Niebuhr w książce *Poza tragizm, eseje o chrześcijańskiej interpretacji historii*. Tam też w eseju *Najgłębsze zawierzenie: Wszędzie tam, gdzie religia miesza się z władzą i gdzie człowiek religii władzę zdobywa – czy to w obrębie Kościoła, czy poza nim – zagraża mu niebezpieczeństwo, że domagał się będzie Boskiej sankcji dla działań na wskroś ludzkich, nierzadko grzesznych, które musi podjąć i które podejmuje*. I dalej: *Bóg dał Kościołowi Ewangelię, Duch Święty zaś czuwa, by wiara Kościoła była żywa. Wszelako geniusz ludzki tworzy, a grzech ludzki pacy wszelkie historyczne i względne formy Kościoła. Ileż to traktuje się je,*

jakby były formami koniecznymi lub jakby nie było różnicy między nimi a Ewangelią, sam Kościół podpada pod klątwę, którą wyrzekł prorok. I jeszcze: Przez całe Średniowiecze chrześcijanie nie uświadamiali sobie wątpliwego sposobu, w jaki mieszały wiarę w Boga z zaufaniem do człowieka. Nam jednak nie o całe średniowiecze tu chodzi, a o jego schyłkową szarość, to napełnienie ponad brzegi naczyń.

W judaizmie *caelbes* nie był pochwalany, uważano go nawet jako wykroczenie przeciw prawom Bożym, podobnie islam, a ten zezwalał nawet na posiadanie czterech żon, gdyż tyle miał ich Mahomet, ostatni prorok Allacha. Inaczej buddyzm, tu bezżenność jest ściśle przestrzegana przez mnichów. Ma to jednak swe historyczne uzasadnienie. Historyczne, bowiem wyznanie to nie jest teistyczne. Księżę Siddhartha, więziony przez swego ojca w czasach młodości w dobrobycie celem uchronienia go od cierpień świata zewnętrznego, ucieka do niego. Budda, czyli przebudzony istnieniem takowego opuszcza przy tym swoją żonę i syna. *Bogowie osiągnęły cel: Siddhartha postanawia porzucić pałac i zostać wędrownym ascetą. (...) Krytycznej nocy budzi się w komnacie pełnej śpiących grajków i tancerek. Urodziwe kobiety zgrzytają przez sen zębami, mamroczą, niektórym z otwartych ust wycieka strużka śliny. (...) Siddhartha wyskakuje z łoża. Idzie popatrzeć na śpiących najbliższych: żonę i syna, ale brakło mu odwagi, by ich zbudzić i pożegnać. Każę zaufanemu woźnicy osiodłać konia. Pod osłoną ciemności opuszcza stolicę księstwa – odgłosy kopyt tłumią kroki gromady półbogów. Księżę pozbywa się drogich szat i klejnotów, ścina mieczem długie włosy, ubiera żółty strój pielgrzyma jak pisze Adam Szostkiewicz w książce *Przebudzony. Opowieść o Buddzie i o tym, czego w buddyzmie szukają ludzie Zachodu*. A zatem u źródła buddyzmu mamy księżę Siddharthę, który zostawia żonę i postanawia zostać wędrownym ascetą. Celibat więc u buddyjskich mnichów jest w pełni uzasadniony. Można powiedzieć: ale przecież Jezus nie miał żony. Tak, tylko nie negował możliwości jej posiadania. (...) są także bezżenni, którzy ze względu na królestwo niebieskie, sami zostali bezżenni i tylko tyle. Budda natomiast oprócz tego, że czynem zaświadcza celibat (mógł przecież obudzić śpiących żonę i syna, i zabrać ich ze sobą), jak wskazują podania mówi: *Dwa są krańce, których unikać musi wędrowiec. Jakie dwa? Służenie pożądaniom i rozkoszy, która się z pożądań wylania; to jest życie nędzne i podłe, wiodące do powtórnych narodzin, haniebne, pozbawione wszelkiej wartości. I oddawanie się cierpieniom i udręczeniu, co jest bolesne, a przy tym też haniebne i pozbawione wszelkiej wartości. Jasno więc określa własną drogę i swoich uczniów, a może lepiej naśladowców, gdyż mówił że takich nie ma, buddyjskich mnichów. Apostołowie natomiast żony mogli posiadać. Objawiona religia chrześcijańska**

tego nie zabrania. Ta różnica jest wynikiem osobliwej analogii jaka istnieje między doktryną trzech „ciał” Buddy a teologią Trójcy, o której pisze Adam Szostkiewicz przedstawiając tę doktrynę. *Budda wciela się w postać ludzką, by przynieść ludziom dobrą nowinę o wyzwoleniu od cierpienia. Ale różnica jest oczywista: Budda nie cierpi, by odkupić, nie składa z siebie ofiary za nich. Nie ma grzechu, więc nie ma odkupienia. Złem nie jest grzech, ale udręka istnienia. Ratunkiem jest wyzwolenie dzięki zbawczemu wysiłkowi Buddy.*

Chrześcijaństwo zakłada niemożliwość wyzbycia się cierpienia w życiu na ziemi. To właśnie pożądanie jest jego bezpośrednią przyczyną, własne, nieujarzmione „ja”. Skoro zatem tak, to dlaczego osoby duchowne nie mogą się żenić? Przecież miłość, ta szczęśliwa, to nie jest to samo co pożądanie. Pisałem o tym szerzej w eseju *Pożądanie i miłość*, dlatego tu tylko, na zasadzie podsumowania, słów kilka.

Nasze ego pożąda i jest to rzecz oczywista. Zagłębił się w swoim wnętrzu, myśli tylko o sobie. Z egocentryka, którym jest małe dziecko, rodzi się egoista kreślący wszystko wokół własnej osoby czyniąc w rezultacie cierpienie temu co na zewnątrz i tym samym uderzając w siebie, bowiem owo „zewnątrz” jest mu oporne. Brak pokory i skruchy nie pozwala, by miłość stała się faktem. Aby popatrzeć na siebie *tak jak się patrzy na obce nam rzeczy* jak pisał Czesław Miłosz w wierszu *Miłość*. Aby nie kochać samej możliwości kochania, jak z kolei wskazywał św. Augustyn, nie zatapiać się w marzenia lub wspomnienia, które cierpienie powodowane przez ego jeszcze rozjątrzą. Bóg jako wiecznie trwająca aktualność to czas i miejsce na miłość. Tu odsyłam do mojego eseju *Wokół czasu*. Miłość to tchnienie (ponownie esej *Pożądanie i miłość*), co nie zaprzecza jej cielesności, a ją uwzniośla. Tej możliwości postrzegania tegoż uczucia są duchowni pozbawieni. Miłość szczęśliwa, ta o której w swym głębszym znaczeniu mówi wiersz Wisławy Szymborskiej, jest im całkowicie obca. To nawet nie jak więzień, który mówi o wolności, bo ten wie o czym mówi. Celibat niejako twierdzi, że osoby mające być duchowymi nie są zdolne do takiego pojmowania miłości. A przecież to one są najlepiej zaznajomione z pojmowaniem czasu jako wieczny, je charakteryzuje pokora i skrucha wobec czasu ziemskiego jako cząstki wieczności, ale rozumianej jako zawsze teraz, są wychyleni na zewnątrz. Odcinając ich od cielesności, się ich tej możliwości pozbawia.

Rzecz następna, która się tu nieuchronnie nasuwa. *Caelbes* zakazuje tego, czego tak w istocie zakazać się nie da, pożądania. Nakazuje natomiast cierpieć z tego powodu i to bez możliwości jakichkolwiek działań pneumy, miłości ziemskiej tej dążącej do szczęścia. To zaprzecza duchowemu doskonaleniu się, gdyż pozbawia cierpienia wynikającego z tych

działań. Miłość będąca wynikiem tylko pożądania jest cierpieniem i ma niewiele wspólnego z rozumianą przeze mnie cielesną miłością. Ta nie zna pustki po fizycznym zaspokojeniu. Osoby duchowne będące tego pozbawione skazane są tym samym na brak, są więźniami, a nie osobami wolnymi, która to wolność jest podstawą wszelkiej, prawdziwej miłości. Cierpią poprzez zakaz, a nie na skutek tego, że ich miłość tu na ziemi nie jest doskonała, bo taka być nie może. Ale przecież poprzez pokorę, sygnalizowanie nie swemu ego ku temu dąży. To, czy, że się tak wyrażę, stosunki cielesne u księży będą wynikiem li tylko pożądania, czy też o wiele bardziej czymś wzniosłym niech to będzie ich domeną, krystalizowania się ich osobowości. Poprzez lepsze obznajomienie spraw ducha mają ku temu, by tak powiedzieć, większe predyspozycje niż tzw. przeciętny człowiek.

(...) są także beżżenni, którzy ze względu na królestwo niebieskie, sami zostali beżżenni mówi ewangelia św. Mateusza słowami Jezusa. Sami zostali, czyli nikt ich do tego nie zmuszał. Taka była ich wola. Być może poprzez to faktycznie chcieli być bliżej Boga, tak nakazywał im to ich daimonion. Rezultatem tego, tego zapisu, było jednak coraz bardziej powszechne i spontaniczne przyjmowanie drogi celibatu, co też w konsekwencji doprowadziło do zakazu na Soborze Trydenckim. O ważniejszych przesłankach i motywach pisałem wcześniej. Jednak należy tu wziąć pod uwagę, czy czasem owa spontaniczność, oprócz osób których faktycznie poprowadził ich duch, nie była również wynikiem, że się tak brzydko wyrażę, pewnego pędu owczego. Nie była rezultatem specyficznego myślenia: jeżeli będę żył w celibacie, w ten sposób bardziej przypodobam się Bogu, będę zbawiony. Poprzez celibat jestem lepszy i miłszy Wszechmogącemu. Ten brak pokory, to nasze ego.

(...) są także beżżenni (...) wśród duchownych, czy to nie byłoby OK?

Janusz Orlikowski



Sergiusz Jesienin

* * *

Ty poiłaś konia, wodę czerpiąc w dłonie,
Spoglądały brzozy w drżące stawu tonie.
Widziałem z okienka błękitną chusteczkę,
Czarne twe kędziory wily się na wietrze.
Pragnąłem boleśnie wśród szmeru strumieni,
Pocałunek zerwać z twoich ust czerwieni.
Drwiąco się zaśmiałaś, prysnęłaś mi dłonią,
Cwałem odjechałaś, uździenicą dzwoniąc.
Z dni przędzy nic czasu wysnuło wrzeczono,
Już cię pod mym oknem do grobu niesiono,
Wśród płaczu panichid i w kadzideł woni,
A mnie ciągle tamta uździenicą dzwoni...

(1910)

* * *

To nie wicher ogołaca drzewa,
Nie listopad złoci zbrocza gór.
Z niewidzialnego Przybytku Nieba,
Gwiazdnych psalmów tu dobiega chór.

Widzę Ją: w błękitnej idzie szacie,
Pod stopami biały obłok łśni.
To miłością przepelniona Macierz,
Syn Przeczysty na Jej rękę śpi.

Niesie Go, by świat znów ukrzyżował
Tego, co już z martwych kiedyś wstał.
„Znowu będziesz bezdomny wędrował,
Pod przydrożnym krzewem będziesz spał”.

I kiedy pośród pylistej drogi
Słyszę kostura miarowy stuk,
Myślę, czy to jest żebrak ubogi,
Czy ktoś, kogo namaścił sam Bóg.

A może kiedyś dostrzec nie zdołam,
Gdy w inną stronę obrócę twarz,
Że gdzieś jaśnieją skrzydła anioła
I śpi tam głodny Zbawiciel nasz.

(1914)

* * *

Taki z twych oczu smutek płynie,
Tyle się bólu w nich zebrało!
Patrzeć na iwy miedź jedynie,
W tym dniu wrześniowym nam zostało.

Gdzieś obce wargi swym dotykem,
Zabrały ciepło twego ciała
I tylko leciutkim deszczykiem,
Mży twoja dusza odrętwiała.

Lecz cóż, nie lękam się go wcale,
Swoją nadzieję w nim odkryłem,

Bo to, co cię napelnia żalem,
Stało się mgłą i żółtym pyłem.

Wszak ja sam także nie zdołałem,
Spokojnie żyć pośród uśmiechów.
Tak mało dróg przewędrowałem,
Tak wiele popełniłem grzechów.

Śmieszne to życie me w nieładzie!
Tak było – i będzie w przyszłości...
Jak na cmentarzu, w moim sadzie
Sterczą brzozy ogryzione kości!

List do Matki

Żyjesz jeszcze, moja starowinko?
I ja żyję. Pozdrowić chcę was.
Niech łśni zawsze nad twoją chatynką
Ten wieczorny, niepojęty blask.

Piszą mi, że ty, kryjąc swą twrogę,
Nosisz w sercu tęsknotę i żal,
Że wychodzisz samotnie na drogę
W staromodny otulona szal.

Wypatrujesz mnie tam nadaremnie
I wciąż lęk cię przejmuję, że już,
Może ktoś mi wśród zwady karczemnej,
Wbił pod serce ostry, fiński nóż.

Nie bój się, nie upadłem tak nisko,
To jest tylko dręczący cię zwid.
Nie zobaczyć cię, drogie matczysko,
I umierać, byłoby mi wstyd.

Moje serce jak dawniej jest żywe
I wciąż marzę na jawie i w snach,
By zostawić to życie burzliwe
I powrócić pod niski twój dach.

Może wrócę, gdy będzie w rozkwicie,
Gdy zapachnie wiosną stary sad.
Tylko ty mnie tak nie budź o świcie,
Jak bywało temu osiem lat.

Nie gań też za życie nieudane
I pomarzyć czasem pozwól mi;
Nazbyt wiele było mi pisane
Przeżyć już w zaraniu moich dni.

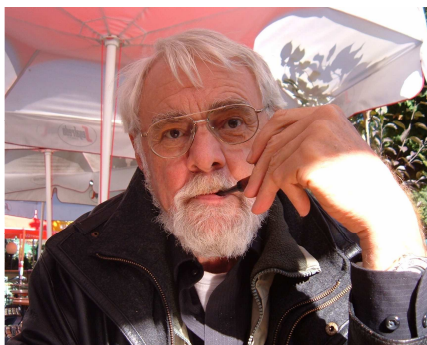
I pacierzynie mnie nie ucz, bo po co?
Nie powróci już miniony czas.
Tyś radością moją i pomocą,
W tobie płonie ten przedziwny blask.

Więc zapomnij, matko, o tej trwodze,
Niech opuszczą cię smutki i żal,
I nie stawaj tak często na drodze,
W staromodny otulona szal.

(1924)

Wiersze Sergiusza Jesienina w tłumaczeniu Andrzeja Lewandowskiego pochodzą z książki wydanej przez Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Zamyślenia



Ten drogi Lwów

*Niec inni sy jađu dzie mogu, gdzie chco,
do Widnia, Paryża, Londynu,
a ja si zy Lwowa ni ruszam za próg,
ta mamciu, ta skarz mni Bóg!
Bo dzie jest na świci tak dobrze jak tu
Tylko wy Lwowi!...*

A to już VIII Międzynarodowy Festiwal Kultury Kresowej odbywający się w Jarosławiu w dniach 9-16 września br., gromadzący rzesze Kresowiaków (i nie tylko), przybyłych ze wszystkich stron naszego kraju. Kresowiaci... jest ich już coraz mniej, odchodzą, ale nie odchodzi nasza pamięć i nich i o Kresach dawnej Rzeczypospolitej. Za czasów komuny ludzie Ci musieli przeżyć okresy jakby odrzucenia, niechęci, a nawet wzgardy dla ludzkich losów. To bolesne, ale oni potwarzali to sobie wówczas, że trzeba to przeczekać, to minie. Każdy okres przejściowy bywa bolesny, bo jest jak śmierć, śmierć pamięci. Jakże wielka w nich tęsknota za tamtymi krajobrazami tkwiącymi w splecie wspomnień, przeżyć, stawizmów dzieciństwa. Bywa, że czasami czujemy się bezradni wobec ich szlachetnego, a tak pogardzanego smutku wygnanców. Tego rodzaju policzków zadanych ludziom, ten świat zna więcęj.

Długo byli Kresowiaci kłopotem, ciężarem i trudem dla władzy. Tęsknota za tamtym straconym światem jednak nie spowszechniała. Powstały związki i stowarzyszenia kresowiaków, ukazywały się pisma, książki, wystawy, wypijające do ostatniej kropli przebudzenia pamięć ludzką, żal za utraconym światem i tęsknotę.

Tak zrodził się Festiwal Kultury Kresowej o międzynarodowym charakterze. Odbywa się on pod patronatem honorowym marszałka województwa podkarpackiego, finansowany ze środków budżetowych tegoż województwa oraz gminy Jarosław. Organizatorem jest Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów południowo-wschodnich, przy współdziałaniu licznych partnerów, sponsorów strategicznych oraz patronów medialnych. W tym roku program festiwalu był szczególnie bogaty. Były to wykłady Tomasza Kuby Kozłowskiego, który prezentował „Pięć oblicz Stanisławowa” (slajdy) oraz wystawa fotograficzna „Ziemia stanisławowska”, a także prezentował twórców szlagierów rodem ze Lwowa: Friedwalde, Heschelesa, Springera, Szlechtera i Vögelfangera. Ponadto odbył się recital Macieja Wróblewskiego, znakomitego

barda pieśni i piosenek „pełnych ojczyzny”.

Dalej: recital romskiej poetki i pieśniarki Teresy Mirgi z zespołem „Kale Bała”, koncert zespołu „Chawira” z Krakowa, recital ormiańskiej pieśniarki Aidy Kosojan-Przybysz wraz z zespołem, koncert Haliny Frąckowiak, koncert zespołu „Magda Brudzińska Klezmer Trio”, koncert chóru kameralnego „A'capella” ze Lwowa, mini recital Dagmary Moskwy „Już mi raz zabrali Wilno”.

W ostatnim dniu festiwalu publiczność wzięła udział w spotkaniu autorskim z prof. Stanisławem Nicieją. Spotkania odbywały się w Sali Lustrzanej Centrum Kultury i Promocji, Galerii Rynek 6, Miejskim Ośrodku Kultury oraz Cerkwi Przemienienia Pańskiego.

Warto przy okazji poświęcić kilka słów o tegorocznych gościach. I tak Tomasz Kuba Kozłowski jest pracownikiem Domu Spotkań z Historią i koordynatorem programu „Warszawska Inicjatywa Kresowa”, której celem jest popularyzacja wiedzy historycznej i kulturowej dziedzictwa Ziemi Wschodnich I i II Rzeczypospolitej. Macieja Wróblewskiego znamy z programów telewizyjnych i radiowych. Koncertował w 26 krajach Europy i Azji, w tym dwukrotnie na Kubie. O ile słuchali go widzowie w Rosji kilkakrotnie, na Litwie w Wilnie, to nigdy nie zaproszono go do Lwowa, co jest kwestią kuriozalną. Zapewne z tej racji, aby nie budził ojczyźnianych sentymentów pośród licznie tam obecnych Polaków (-).

Teresa Mirga, cygańska poetka, pieśniarka, kompozytorka, była założycielką cygańskiego zespołu Czarne Włosy (Kale Bała). Urodziła się w polskim Spiszu, w cygańskiej osadzie w Czarnej Górze i tam też do dzisiaj mieszka. Wywodzi się z jednej z czterech grup cygańskich Cyganów Karpaccich w Polsce.

Halina Frąckowiak nie trzeba przedstawiać. To wielki talent pieśniarski.

Aida Kosojan-Przybysz jest z pochodzenia Ormianką. To w jej karierze pomogła jej Katarzyna Gärtner. Podczas studiów w Kijowie poznała Adama Przybysza, pobrali się, przyjechali do Polski. Ukończyła Wyższą Szkołę Gospodarki Narodowej w Kijowie. Współpracuje z zespołem Max Klezmer Band.

Dalej Magda Brudzińska z zespołem Klezmer Trio wykonującym wokalnie-instrumentalną muzykę klezmerską z tradycji Żydów Aszkenazyjskich, folku Europy centralnej oraz Bałkanów.

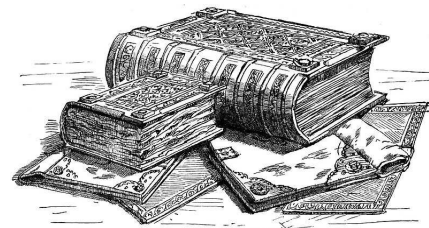
Chór kameralny „A'Capella Leopold” wykonujący muzykę różnych epok (od średniowiecza do klasycyzmu) działający od roku 2002.

I wreszcie prof. Nicieja, historyk, biografista, długoletni rektor Uniwersytetu Opolskiego. Długa jest lista jego osiągnięć jako historyka, pisarza i eseisty, jako członka Związku Literatów Polskich.

Reasumując, to właśnie od tych wykonawców biło światło, blask niczym oliwa na powierzchni morza pamięci. Pamięci o naszych Kresach. Dobrze, że pamięć przez te wszystkie lata stała się niemową. Może od tych paru dni liczni uczestnicy Festiwalu jeszcze uważniej i staranniej będą wpatrywać się w minione dni przeszłości, które trwają, są wtopione w niezmiernie obszary czasu niezapomnianego, a że czasami z leżką w oku, to nic, to przejdzie, gdyż

znaleźliśmy jakiś szaniec obrony przed zapomnieniem...

Kazimierz Ivosse

Pożegnanie
Tomasza
Wincentego Rzepy

Nagle ustały telefony od Tomasza Wincentego Rzepy. Fakt ten zaniepokoił pisarzy skupionych w Jego macierzystym poznańskim oddziale Związku Literatów Polskich oraz przyjaciół ze Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, a mówiąc szerzej, poznańskich ludzi pióra. Odszedł ze swojej gnieźnieńskiej samotni w roku 25-lecia debiutu książkowego. Aktywny literacko do swoich ostatnich chwil życia.

Tomasz opublikował 12 książek, w tym również tom opowiadań. Był współautorem kilkudziesięciu antologii i almanachów. Był to zatem pisarz o znacznym dorobku twórczym. Wiele wskazywało na to, że korzystał ze zdobytej wiedzy, gdy studiował filozofię i teologię. Często odwoływał się do mitologii greckiej i rzymskiej, przypominał o tym, że wywodzi się z kultury śródziemnomorskiej. Co nie zawsze było dla wszystkich i w każdym okresie oczywiste. Odwoływał się do tej spuścizny, ukazując niepokoje współczesnego człowieka. W tomie poezji „Brzegi” (jakże symboliczny to tytuł) zapytuje: *świat jest piękny o poranku letnim / kto wie czy potrwa jeszcze siedem dni.*

W rozmowie lirycznej, pełnej jednak wątpliwości napisze: *Cały twój czy nie za wiele / czy zbudujemy szczęście / dom o szklanych ścianach / a może klatkę.* Zamyka tę rozmowę optymistyczną kadencją: *Moje serce jak Ikar / wolno / zapada w ciebie.*

Niemoc realizacji pragnień znajdziemy w znakomitej kodzie wiersza: *nocna ojczyzna / ómy ojczyzna.*

Pięknie pokazane zakłopotanie człowieka w „Micie IV”: *gdzie lęk / a gdzie czułość / co umie / uśmierzyć.*

Obnaża panoszący się fałsz: *czas nas obdarze z maski tego kłamstwa w sobie / czas nam odda resztę jaka z nas zostanie* – to w wierszu

(Dokończenie na stronie 13)

Kozetka (14)



Geometra papilionaria

Należy swoje ułomności nosić jak szaty królewskie, ze spokojem. Jak aureolę, którą lekceważymy, udając, że jej nie dostrzegamy.

Tylko sylwetki ułomnych nie rozmywają się w mętnej przejrzystości atmosfery. Piękno jest cudowną ułomnością formy.

Mario Vargas Llosa

Joanna Friedrich

Latem nie mogę się opanować, i oprócz ulubionych biografii, czytam książki przyrodnicze, takie jak „Rośliny lecznicze”, „Katalog motyli”, „Muszle” i inne. Myślę wtedy, że to też są swego rodzaju biografie.

Czasem też mam dzień „robienia się na bóstwo”, stosując najchętniej porady kobiet żyjących najdłużej na ziemi, czyli Japonek.

Dla kobiet zabiegi kosmetyczne są jak medytacja, a najlepszy kosmetyk, to sen.

W mojej torbie podręcznej od lat wozę książki. Podróżują ze mną we wszystkie strony. Nie jestem nauczycielką, nie jestem pisarką, właściwie nie jestem już też dziennikarką.

Typowy ze mnie mol książkowy.

Możliwe więc, że wytatuuję sobie mola. To znaczy, raczej motyla z katalogu motyli, bo tu jest ich zdecydowanie większy wybór.

Kobiety w ogóle są jak motyle, różnią je na pozór nic nie znaczące drobiazgi, i, wła-

śnie w tych drobnych różnicach tkwi całe ich piękno. Nie mówiąc o nazwach własnych motyli, te dopiero pobudzają wyobraźnię. Geometra papilionaria.

Jakoś nie myślę też o molu, jak o prawdziwym molu.

Niektóre słowa, szczególnie te nie wyrwane z kontekstu mają osobne miejsce w świecie mojej wyobraźni.

Mol książkowy, to raczej szalony Motyl w modrakowym kolorze, ze złoceniami na końcach, obsypany złotym pyłem.

Nosi śmieszne rajstopy w paski i nie rozstaje się z fajką w zębach...

Jesienią wracam do świata fantazji i mody. Do moich baranów. Szczególnie interesuje mnie dział fantazji w modzie.

Moda jest niełatwym biznesem i mogłabym ją opisywać przez ten pryzmat. Ale nie na wszystko trzeba patrzeć przez pryzmat pieniędzy.

(Szczególnie, że w świecie mody rzadko mówi się o pieniądzach, preferując doznania artystyczne: używa metafor Bajkowych, a nie Biznesowych.)

Zwłaszcza po południu, kiedy słońce nareszcie wychodzi zza chmur.

Pieniądze są ważne, nie przeczę, ale bardzo jestem przywiązana do cech nieprzelicznych na pieniądze.



Taka pierwsza z brzegu elegancja, na przykład. Bardzo ciężko ją kupić.

Jeśli już jesteśmy przy literce „E”, to to samo dotyczy elokwencji.

F – jak fantazja, G – jak gracia, H – jak honor, I – jak inteligencja...

Nie do kupienia, nie do wymyślenia, nie do wymodlenia.

A pieniądze bywają łatwe do zarobienia i łatwe do stracenia. Jak przysłowiowe „talenty”.

W następnym odcinku: więcej o miejskiej geometrii i kobietach – ćmach i motylach. Czym bez kobiet byłby ten świat?



Pożegnanie Tomasa Wincentego Rzepey

(Dokończenie ze strony 12)

bez tytułu zaczynającym się od słów: *Czas nam twarze przykroi na modłę kamienia.*

Dla poety Tomasa Wincentego Rzepey drugi człowiek to cały świat: *Więc kontynent / ja / i kontynent ty.*

Miał świadomość ciągłego zmagania się ze słowem: *Jak nazwać słowo a więc treść bólu (tworzenia) / czy starczy słowu przypisać znaczenie / by się rozparło i odgadło wszystkich.*

Dla Niego poezja nie była tylko sposobem rozpoznawania rzeczywistości (jak napisano na IV stronie okładki ostatniej książki poetyckiej „Zmartwychwstanie”) – była samą rzeczywistością: *Poezjo kapłanko zwykłego dnia / stwarzająca święto.*

I także miłość jest bardzo ważna, choć pozostała jedynie pamięć o niej.

W tytułowym wierszu tomiku „Zmartwychwstanie” natchniony poeta przewidział: *Kończy się lato / jak się kończy życie / Aorty korytarze ciała / wciąż krew tłoczą jeszcze / Po lecie jesień siwa / czy warto zaczekać.*

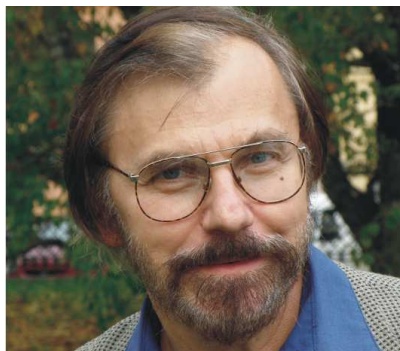
Z trudem, szczególnie w ostatnich latach swego życia dźwiga poeta ciężar samotności a nawet osamotnienia: *Nie jestem sam / choć samotny jestem; To ty czy ja / złączeni jak w sercu / szukamy siebie w tym tłumie ludzkim.*

Ta wyjątkowo wrażliwa poezja w swej formie nawiązywała do poetyki Skamandra. Zostawił nam wspaniałe przesłania, wyrażające odwieczne ludzkie pragnienia: *I niech się kończą dobrze / zwycięsko romanse / niech zwycięża dobro / tęsknota i miłość; Trzeba być bo byt jest dobry / niesie życie i zgodę na nie / świat wszystkie jego barwy / wspomnienia myśli i idee.*

Poeta pożegnany został przywołaniem Jego wierszy, które czytali Elżbieta Gałęzewska – Krasieńska, Jerzy Grupiński, Zygmunt Dekiert oraz Paweł Kuszczynski.

Paweł Kuszczynski

Listy do Pani A. (99)



Magiczna dźwigienka

Droga Pani!

Człowiek jednak nie zna sam siebie. Nigdy nie byłem specjalnym melomanem. Owszem, lubię muzykę klasyczną, chętnie chodziłem na tego rodzaju koncerty do filharmonii, gdzie można zagłębić się w fotelu i oddać kontemplacji. Nie wiedziałem jednak, że inny typ muzyki także zrobi na mnie silne wrażenie. Byłem na koncercie jazzowym. Występowali uczestnicy warsztatów jazzowych z całego świata, którzy zjechali się w Trzebnicy, a na zakończenie zaprezentowali się publiczności w komplecie.

Nie bardzo chciałem iść, myślałem, że to muzyka nie w moim stylu, ale w końcu dałem się namówić. I proszę sobie wyobrazić, że wytrwałem na krzeselku ponad cztery godziny, o co bym siebie wcale nie podejrzewał. Impreza odbywała się w parku zdrojowym na wolnym powietrzu. Siedziałem, słuchałem, niemal czułem pozytywne wibracje tworzone przez tę muzykę. Wysiedziałem do końca, choć przecież mogłem w każdej chwili wyjść bez najmniejszego problemu. A ja siedziałem jak zahipnotyzowany, dziwiąc się samemu sobie. Okazuje się, że nie można mówić „nie” jeśli się czegoś nie spróbuje.

Muzyka jest dziwną sztuką, odnosi się bowiem bezpośrednio do wyobraźni, porusza swą harmonią, jest również bliska poezji. Ale wymaga dużo pracy, gigantycznego wysiłku, pokory – czego nie można powiedzieć o wielu piszących wiersze, a we własnym mniemaniu lepszych od Mickiewicza, Miłosa, Różewicza czy Herberta. I oni wszyscy chcieliby być zapraszani na wszelkie festiwale, publikować wszędzie, odbierać prestiżowe nagrody. To tak, jakby amator popiskujący na fujarce, albo szarpący jedną strunę gitary miał pretensje do występowania na Warszawskiej Jesieni albo w filharmonii wiedeńskiej. Tam selekcja jest ostra. W sprawach literackich nie ma żadnej, bo byle miernota w internecie puszy się jak paw. Im mniej sobą reprezentuje, tym bardziej się puszy. Wymaga szczególnych względów, wrzeszczy i ryczy.

Joanna Rawik w swojej znakomitej i arcyciekawej książce „Muzyka życia” (Wyd. Studio Emka, Warszawa 2013) tak pisze, przywołując słowa niezapomnianego profesora Aleksandra Bardiniego: *Bywam od lat jurorem rozmaitych konkursów i festiwali piosenki. Zauważyć w nich można przede wszystkim, że większość uczestni-*

ków nie posiada najmniejszych predyspozycji w tym kierunku, dlaczego zatem pchają się na takie imprezy? Profesor Aleksander Bardini miał swoją teorię w myśl której, im bardziej ktoś nie nadaje się na artystę, tym więcej w nim uporu i zawziętości, a nawet bezczelności.

Nic dodać, nic ująć. Tak jest w każdej dziedzinie, nie tylko zresztą sztuki, ale wśród piszących to już nie ma żadnych hamulców.

Niedawno byłem w Zamku Czocha koło Lesnej na Dolnym Śląsku. I wie Pani, co mi się najbardziej podobało? Nie uwierzy Pani. Podwójne łożo. A dlaczego? Zaraz powiem. Otóż po „damskiej” stronie działała zapadnia, którą – jeśli coś było nie tak – za pomocą dźwigienki uruchamiał leżący po „męskiej” stronie facet. A wtedy białogłowa spadała do lochu dwadzieścia metrów w dół. Zapraszaliśmy do takiego łoża poetessy, a po przeczytaniu przez nie wiersza pociągałbym za dźwigienkę. Nie zawsze byłoby to przyjemne, ale zawsze społecznie pożyteczne. Choć pewnie by mi życia nie starczyło na „oczyszczanie” świata literackiego, że o pojemności lochu nie wspomnę. Można by też było wykorzystać wysoką wieżę w Książu. Patrzyłem na nią i pod tym kątem, ale szkoda zanieczyszczać piękne otoczenie. Zamek istotnie jest imponujący, ciekawy architektonicznie, ma przebogata historię, nie mówiąc już o pięknym położeniu. Szkoda tylko, że takie w nim tłumy, często nie zasługujące, by przekroczyć te progi. Ale mamy takie czasy, że wieprze hoduje się w salonach (nie obrażając prawdziwych wieprzy).

Tymczasem redaktor portalu internetowego www.pisarze.pl Bohdan Wrocławski, wydał ostatnio w swojej oficynie „Antologię poetów polskich 2016”. Monumentalna ta księga, oprawna w sztywne okładki, liczy sobie 568 stron. Zaprezentowanych zostało tutaj około stu trzydziestu autorów. Piszę „około”, bo nie jestem pewien, czy nie pomyliłem się w liczeniu.

To dużo. Okazuje się, że Polska jest zagłębiem poetów, których – na równi z duchowieństwem – można potraktować jako materiał eksportowy. Udało się redaktorom „Antologii...” pomimo wszystko utrzymać na ogół dobry poziom. Wśród tej liczby twórców znaleźli się m.in. tacy poeci jak Zdzisław Antolski, Ernest Bryll, Jacek Maria Hohensee, Jan Stanisław Kiczor, Piotr Muldner-Nieckowski, Elżbieta Musiał, Aleksander Nawrocki, Stanisław Nyczaj, Bohdan Urbankowski czy sam Bohdan Wrocławski. Jednak dobór autorów i wierszy nie był zupełnie dowolny i przypadkowy. Prowadzono dosyć ostrą selekcję, co oburzyło grafomanów, którzy się w tej „Antologii” nie znaleźli. I publicznie triumfowali, że się oni w „takim towarzystwie” nie znaleźli z własnej woli. Próbowali też umniejszać zasługi Wrocławskiego. Owszem, nie wszystko w tej antologii jest genialne, nie wszystko nawet bardzo dobre, ale przecież nie kompromitujące. Nie można więc, zwyczajem polskim, pluć na działalność innych. Jest to niewątpliwa zasługa Wydawcy, że przypomniał nazwiska starszych poetów, opublikował wiersze młodszej generacji, umożliwił poetycki start kilku najmłodszym. I tego w uczciwy sposób zakwestionować się nie da.

Obecność lub nieobecność w różnego rodzaju antologiach nie przesądza o istnieniu i klasie poetów. Oto w Wydawnictwie Adam Marszałek ukazał się niewielki tom wierszy Leszka Żulińskiego „Pani Puszczalska”. Niech Pani zwróci uwagę na zakończenie tytułowego utworu: „wiem, że spodziewaliście się / po tytule tego wiersza czegoś innego / i już zacierałiście ręce

przed lekturą, / a tu tylko menuet z pogrzebaczem / i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”.

To bardzo poważny, gorzki tom wierszy o przemijaniu, względności wszystkiego, nawet najbardziej – wydawałoby się – oczywistych zjawisk; o iluzoryczności naszego poznania; o niezgłębionych tajemnicach życia, które kryją albo coś, albo nic – a tego rozstrzygnąć nie sposób. Zachęcam Panią do przeczytania tego przejmującego tomu, doskonale skonstruowanego, często ironicznego, napisanego z filozoficznym dystansem. Nie jest to poezja „łatwa”, blaha, o niczym, jak to się najczęściej zdarza. Choć nie pozbawiona wewnętrzznego humoru, mówi o istotnych dramatach egzystencjalnych, które przeżywa lub będzie przeżywał każdy myślący człowiek.

Będąc we Wrocławiu odwiedziłem w tamtejszym Muzeum Miejskim wystawę „Marc Chagall i artyści europejskiej awangardy”. Mogę tylko wspomnieć Pani o niej, a nie polecić, bo wystawa już się skończyła, więc – przynajmniej teraz – Pani nie będzie mogła obejrzeć jej sama. To malarstwo robi wrażenie. Było tam tylko szesnaście prac Chagalla, reszta prace klasyków awangardy XX wieku. Wystawa bardzo dobra, wprowadzająca w klimat epoki.

Myślałem, że będzie więcej Chagalla w Chagallu, jak to miało miejsce w latach siedemdziesiątych na wystawie krakowskiej, dokąd pojechałem jako dziennikarz „Kierunków”. Ale wtedy były prace wyłącznie Chagalla, najbardziej dlań charakterystyczne. Długo byłem pod wrażeniem tych klimatów, postaci lewitujących nad dachami miasteczek, ludzkich typów... Ale i ta wystawa wrocławska nie pozostawia obojętnym.

Czasem trzeba trochę oddalić się od własnej codzienności. Pomogły mi ostatnio „Pamiętniki” Eryka Lipińskiego. Niestety, nie miałem sposobności poznać go, choć bywałem nieraz w Muzeum Karykatury. Ale artysta ten był mi bliski i znany z twórczości, a także ze wspomnień Jerzego Zaruby. Eryk Lipiński, człowiek bardzo dowcipny, niesłychanie przedsiębiorczy, optymistycznie nastawiony do życia był znakomitym grafikiem i równie świetnym pisarzem. Czy wspomina czas dzieciństwa, wojny i okupacji, czy sięga do najbardziej współczesnych czasów (zm. 1991), czyni to ze swadą, humorem, doskonałym wyczuciem anegdoty. A wszystko to na bardzo wysokim, intelektualnym poziomie. Brakuje teraz ludzi o takim formacie. Czy Pani również odczuwa ten brak? Dlatego niekiedy nie chce mi się wychodzić na ulicę, nawet uczestniczyć w imprezach artystycznych, bo to wszystko takie jakieś miałkie. To jednak tylko mój punkt widzenia. Pani, tyle lat młodsza ode mnie, może się lepiej czuje w rzeczywistości, jak ja czułem się w swojej, kiedy byłem w Pani wieku.

O tym wszystkim napiszę Pani w następnym liście. Będzie to już odcinek setny, a więc czas na podsumowanie i wyjaśnienia. Już teraz zapraszam Panią do lektury, i najserdeczniej po raz pięćdziesiąty dziewiąty pozdrawiam –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Przepraszam!

Niestety, grupa naszych przywódców – ze wszystkich stron sceny politycznej – straciła kontakt z rzeczywistością i my – obywatele z pięknego kraju nad Wisłą – z nimi już też nie nawiązemy kontaktu. Strach przed nieistniejącym, wymyślanym zagrożeniem czyni z nich szaleńców.

Świat wpływów naszej polityki został podzielony m.in. pomiędzy zwolenników „Wprost”, „Gazety Wyborczej”, „Polityki”, „Newsweeka”, TVN i Polsatu, z drugiej strony barykady jest „Nasz Dziennik”, „Gazeta Polska”, „DoRzeczy”, Radio Maryja, Telewizja Trwam i obecna telewizja publiczna.

Andrzej Dębowski

Profesor Ireneusz Krzemiński postawił diagnozę całej tej sytuacji społeczno-politycznej i powiedział, że (...) to, co w tej chwili prezentują przywódcy PiS, na czele z Jarosławem Kaczyńskim, to populistyczny ruch kontestujący władze, antydemokratyczny, którego nie mogą sobie wyobrazić bez tego specjalnego ośrodka organizującego opinię społeczną, czyli Radia Maryja. (...) Musimy stworzyć racjonalną diagnozę sytuacji, gdyż mamy do czynienia z tworzeniem niezwykle agresywnej mniejszości politycznej, która ma charakter politycznej sekty narodowo-religijnej kreującej obraz świata.

Mamy tutaj Jarosława Kaczyńskiego z grupką towarzyszy, moim zdaniem, oszalałych, którzy widzą wokół siebie wyłącznie zagrożenie. »Nie zabijajcie nas, mamy dzieci!« – wołał prominentny polityk PiS Witold Waszczykowski. Tak jakby tutaj były jakieś zorganizowane bojówki, które o niczym nie myślą, tylko o tym, żeby napadać na niego. Natomiast inny działacz PiS w Parlamencie Europejskim mówi, że to był zamach terrorystyczny. Mamy też oświadczenie byłego ministra Ziobry, który mówi, że powinno to być ścigane jako zbrodnia przeciwko ludzkości”.

Muszę przyznać, że profesor ma wiele racji, ale problem wartości naszej rodzimej polityki jest moim zdaniem nieco bardziej złożony. Jeśli spojrzymy na nią od strony badań społecznych, to daje się zauważyć, że jest to rodzaj fali, która rozprzestrzenia się we wszystkie strony, jakby gdzieś w środku nastąpiło trzęsienie ziemi, które wywoła już tylko i wyłącznie tsunami.

To, co dzieje się w tej chwili w naszych krajach, może tylko spowodować ogólnonarodową apatię w działaniach wielu wartościowych ludzi. Kiedy słyszy niemal codziennie, co wygadują i jak zachowują się nasi politycy, to właściwie już nie wiem, czy śmiać się, czy może bić na alarm, że jeszcze trochę, jeszcze kilka miesięcy i skoczmy sobie wzajemnie do gardeł. Żeby więc ustrzec się takiego scenariusza, postanowiłem, wbrew wszystkim partiom i politykom, przeprosić! Wszystko i wszystkim!

Przepraszam!

Za politykę nienawiści, o której tyle mówi Jarosław Kaczyński, oskarżając głównie inne partie, nie widząc tego, że tak naprawdę to on sam jest jej twórcą.

Przepraszam!

Za Smoleńsk... że nie dopilnowałem, czy lotnisko w Smoleńsku było dostatecznie przygotowane do lądowania prezydenckiego Tupolewa. Że nie rozgoniłem na czas mgły i nie wyciąłem w porę kilkudziesięcioletniej brzozy, o którą zahaczył skrzydłem wspomniany samolot. Że zginęło 96 osób, w tym głowa naszego państwa.

Przepraszam również i za to, że później nie dopilnowałem „Ruskich” przy pracach nad szczątkami TU-154 i nie patrzyłem im na ręce, i że nie rozłożyłem nad wrakiem plandeki, żeby deszcz nie padał na pozostałe resztki.

Przepraszam!

Naród za polskich polityków i parlamentarzystów, którzy żyją w oderwaniu od rzeczywistości, a społeczeństwo jest im potrzebne do wrzucania głosów do urn wyborczych.

Przy okazji przepraszam polskich parlamentarzystów i europarlamentarzystów, za to, że dostają tak małe diety poselskie oraz inne uposażenia...

Przepraszam!

Za dawnego Janusza Palikota, Ryszarda Petru, Stefana Niesiołowskiego, Antoniego Macierewicza, Krystynę Pawłowicz, Stanisława Piotrowicza i wielu innych. Przy okazji przepraszam pozostałych polityków, że nie wymieniłem ich z imienia i nazwiska, a jak wiadomo, o kim się nie mówi, ten nie istnieje...

Przepraszam!

Za zbrodnie przeciwko ludzkości... A dokładniej za Zbigniewa Ziobrę, który te słowa wypowiedział. Przy okazji przepraszam Zbigniewa Ziobrę, że kiedyś został nazwany przez Leszka Millera „zerem”, chociaż, jak powszechnie wiadomo, Miller lubi przesadzać. Jednak w tym przypadku nie wiadomo, w którą stronę przesadził...

Przepraszam!

Za polskich biskupów, którzy ociągali się al-

bo nie chcieli kiedyś zabierać głosu w sprawie krzyża na Krakowskim Przedmieściu, twierdząc, że nie jest to sprawą Kościoła katolickiego, ale za to szybko i bardzo chętnie zajęli się „damskimi”... (ustawa o *in vitro* i ochronie życia)...

Przepraszam!

Za Joannę Senyszyn, która powiedziała: *Rozbestwieni biskupi zatracili umiar i chcą rządzić wszystkim*, kiedy komentowała sprawę listu kardynała Gulbinowicza do sądu z prośbą o łagodne potraktowanie oszusta, który spowodował ogromne straty Skarbu Państwa.

Przy okazji przepraszam za kardynała Gulbinowicza – za to, że bronił oszusta, a oszusta przepraszam za to, że bronił go Gulbinowicz, i że Senyszyn w ogóle „wywlokła” tę sprawę na światło dzienne.

Przepraszam!

Za dopalacze... że nie przeprowadziłem ze wszystkimi premierami naszego rządu rozmów, że nie napisałem chociażby krótkiego listu otwartego, aby ustawa o przeciwdziałaniu narkomanii nie była tak łagodna, żeby ścigać wszystkich tych, którzy żerują na naiwności małoletnich i zarabiają na tym interesie miliony.

Przy okazji przepraszam właścicieli punktów sprzedaży tych specyfików, za to, że nie mogą uczciwie pracować i dorabiać się, pomimo że dzięki własnej inicjatywie i zaradności stworzyli sobie miejsca pracy i dzięki temu odprowadzają podatki do skarbu państwa, żeby nam wszystkim lepiej się działo...

Przepraszam!

Za polskich kiboli, którzy rozwalają wszystko i wszystkim.

Przepraszam!

Za to, że na Euro 2012 nie było wszystkich zaplanowanych dróg i autostrad, hoteli i restauracji, lotnisk i dworców. Przy tej okazji przepraszam za zenujący poziom polskiego sportu.

Przepraszam!

Za zbyt wysokie koszty wzięcia kredytu w każdym banku. Przepraszam, również za to, że nie ma możliwości, aby tego kredytu nie oddawać...

Przepraszam!

Za zbyt dużą samodzielność Pana prezydenta: „Przepraszam teraz wszystkich”...

Przepraszam!

Za to, że jeszcze żyję i że zawracam Państwu głowę takim pierdołami, jak ten felieton...

I przepraszam, że w ogóle przepraszam...

A żeby nie zwariować, to właśnie otworzyłem butelkę ulubionego Jim Beama, włączyłem muzykę jeszcze bardziej ulubionego Pata Metheny'ego i mam to wszystko... – jak śpiewa Lech Janerka – „dokładnie tam”... Czego i Państwu nie życzę... chociaż później i tak usłyszymy, że „naród nie dorósł”...

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (7)

(fragmenty)



Czy ja byłam kiedyś niemiła?

Udane, tłumne spotkania autorskie z Anną Dymną, czytającą moje wiersze, w Jasle i w Mielcu.

Wcześniej Helena Gołębiowska, organizatorka „koncertu na dwa głosy” w Jasle, zadzwoniła z dyskretną prośbą, „czy bym nie mógł wpłynąć na Gwiazdę, żeby była dla pani burmistrz, która ją uwielbia i chce po spotkaniu zorganizować mały poczęstunek?”.

– Zrobię, co w mojej mocy – mówię.

Na poczęstunku z panią burmistrz, który przebiegał w sympatycznej atmosferze, zaświerzbil mnie język i śmiejąc się, opowiedziałem o telefonie Heleny.

– Czy ja byłam kiedykolwiek dla kogoś niemiła? – obrusza się Ania.

– No wiesz... czasem ci się zdarza... choćby w celach samoobronnych, żeby cię nie schrupali wielbiciele... – odpowiadam wymijająco.

– Ach, znowu coś wymyślasz, poeto – wzrusza ramionami.

W drodze powrotnej raczymy się whisky, którą wlałem do małej manierki.

Aktorka opowiada, jak to w małych butelkach zawiozła nalewki księdzu Janowi Twardowskiemu, który wyglądał na swoim łożu boleści, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha, ale gdy usłyszał o nalewkach Ani, zastrzygł uszami, ożył i wykazał nimi wielkie zainteresowanie, chowając je błyskawicznie pod koldrę.

Anna Dymna należy do tych Polaków (Polek), którym się udaje to, co sobie zamierzili... Na przykład salon poezji...

Kto poza nią od początku uwierzył, że poezja jest na tyle potrzebna ludziom, iż co tydzień – w niedzielę o 10.30 – znajdują się chętni słuchający wierszy wygłaszanych przez aktorów w foyer krakowskiego Teatru Słowackiego?

Mińło siedem lat i salon się trzyma! Trzy ma się mocno nie tylko w Krakowie, gdzie przeciętna frekwencja na widowni – i to co

niedziela – 200 osób. W ślad za Krakowem poszły inne miejscowości... W sumie 22 filie w kraju i za granicą. Można rzec, że z małego ziarenka pomysłu wyrosło od stycznia 2002 ogromne drzewo z wieloma konarami, gałęziami.

Jeśli wierzyć wywiadowi prasowym pomysłodawczyni, i ja w jakimś w stopniu przyczyniłem się do narodzin pomysłu. W 2007 roku, gdy Dymna otwierała podwoje filii w Komorowie, powiedziała dziennikarzowi m.in. (cytuję za Internetem): „W Krakowie mieszka Józef Baran, którego poezja szalenie mi się podoba (...). Poznałam go 22 lata temu i od tego czasu zawsze pierwsza czytam jego wiersze z kolejnych książek (...). Najbardziej zdumiewał i zdumiewa mnie fakt, że na nasze spotkania przychodziły zawsze i dalej przychodzą tłumy ludzi”. To – jak dodała – nasunęło jej myśl, że istnieje grupa wielbicieli pięknego słowa, która chce posłuchać dobrej poezji, ale nie ma gdzie.

Podczas powrotu z Mielca przypominam aktorce, jak to ćwierć wieku temu, gdy urodziła synka Michała i była już gwiazdą filmową, stałem przez przypadek na dworcu kolejowym tuż za nią w kolejce po bilety... i jak zamarzyło mi się, żeby to ona właśnie czytała kiedyś moje wiersze na spotkaniach. W jakiś czas potem nagrałem z nią wywiad do tygodnika „Wieści” i zostawiłem tom wierszy, który przypadł aktorce do gustu. Tak się zaczęła nasza sporadyczna współpraca, w której ona – jak to mówiła żartobliwie – „robi za małpę” (dodam – piękną), czyli przyciąga publiczność. Zapraszałem ją do czytania moich wierszy przede wszystkim w Krakowie, gdzie sale zawsze były wypełnione, ale także w innych mniejszych i większych miejscowościach: w Gdańsku, Warszawie, Sztokholmie, Tczewie, Mielcu i Tarnowie, ale i w Rabce, Jasle czy... Gnojniku, gdzie pół wsi przyszło na spotkanie, czy w Nowej Hucie, gdzie w hotelu robotniczym wydawało się, że się żywcem ugotujemy... To wtedy padło to zaskakujące stwierdzenie, które powtarzało się i w innych miejscach: – Jak pan czyta swoje wiersze, to wydaje mi się, że ich nie rozumiem, a jak czyta je pani Anna Dymna, to wydaje mi się, że wszystko rozumiem!

W ustach Ani wiersze pulsują ciepłem, nabierają głębi i szlachetnego wyrazu, a mówione przeze mnie brzmią kostycznie, bo poeta najczęściej wstydi się publicznego wyrażania swoich uczuć...

Oczywiście zdarzają się aktorzy czytający gorzej od autora, a właściwie nie tyle czytający, co deklamujący: melodramatycznie, kwiecistie, z patosem i przesadą. Przed takimi recytatorami broń nas, Panie Boże...

Z listu do młodego poety Grzegorza Kwiatkowskiego

„Panie Grzegorzu, bardzo mi się podoba Pański wiersz »Wieża II«, szczególnie początek...

Ale dlaczego nie umie się Pan oprzeć tym Pańskim pokoleniowym parciom na używanie słów w rodzaju »żona, której nie jebałem«. Ja też jestem niezłym przekleńnikiem, ba, moja mło-

dość obracała się między chłopakami z poprawczaka, z domów dziecka, gdzie łacina kuchenna była na porządku dziennym. Wypiłem z menelami tyle piw pod peerelowską budką, że mógłbym w nich Pana utopić, ale wiem, że jeśli używa się mocnych słów w literaturze, powinny mieć uzasadnienie. Tymczasem kiedy obserwuję młodą literaturę – widzę jakąś szczególną, maniacką potrzebę tworzenia literatury z »kurwy«, »pizdy« i »chuja«”. Po »kurwie«, jak wiadomo, poznaje się »prawdziwego Polaka«, ale wiem skądinąd, że młodą literaturę tworzą salonowe maminsynki, dodając sobie przekleństwami kurażu, w czym przypominają wyrostków, co chcą uchodzić za dorosłych, wkładają do ust papierosa i używają słów zasłyszanych od meneli.

Zauważyłem, że Pan też lubi sobie w wierszach dodawać kurażu tymi gestami Kozakiewicza, przed czym przestrzegam, bo jak się czegoś nadużywa, to przestaje działać i... jak zwykle serdecznie Pana pozdrawiam:

Stary Poeta Józef Baran”.

Siła bezwładności czy fruwanie?

Od jakiegoś czasu dolegliwości jelitowe, problemy ze snem i takie różne inne komplikacje związane z kłopotami i radościami. Spadłem parę kilogramów. Nie wiem, co lepsze. Żyć spokojnie, lecz na zasadzie siły bezwładności – bez większych emocji – czy fruwać i przyplącać to nerwami? Zdaje się, że nie mam wyboru... Taki się urodziłem i taki umrę... Czyli z tym „starym poetą” podpisanym pod listem do młodego poety to lekka przesada...

Szpileczka

Z dziennika mojej żony Zofii: „Gdzieś przeczytałam, że w psychologii znany jest »efekt aureoli« – jeżeli ktoś jest w czymś dobry, na przykład wrażliwy na sztukę (artysta), to wydaje nam się, że cały będzie piękny i szlachetny. To bzdura. Przekonałam się o tym, czytając nie tylko biografie ludzi sztuki, ale obcując na co dzień z poetą, uwrażliwionym na piękno słowa.

Utalentowani twórcy szlachetność i uczucia przelewają na swoje dzieła sztuki, nic więc dziwnego, że w obcowaniu z bliskimi czują się wypaleni, rzeczywistość im stale zgrzyta i poszukują szczęścia »za widnokretem«. Czesław Miłosz posuwa się do stwierdzenia, że wybitni poeci mają zimne serca.

Zdarza się, że ich marzenia i nadzieje często skierowane są ku obiektom lub osobom mało osiągalnym. To złudzenie, że ten ktoś – obiekt marzeń – może zaspokoić potrzeby poety, »odmłodzić go«. Gdyby osoba owa zaczęła z nim żyć na co dzień, to przekonanie zostałooby podane surowej korekcie, bo wspólna codzienność nie jest łaskawa dla złudzeń. Lepiej więc niech obiekt na zawsze pozostanie nieosiągalnym ideałem...”

cdn.

Poetyckie doświadczenie skończoności człowieka

Dar, wdzięczność, łaska i raj – to cztery słowa kluczowe wyrażające satysfakcje poety z faktu inspiracji twórczych wypływających z codziennego doświadczenia po dramatycznym przeżyciu możliwości śmierci. Pobyt w szpitalu, gra o życie, pomoc najbliższych spowodowały, że autor jakby wziął w nawias upływ czasu i w tej osobistej bezpośredniości doświadczał świata „w teraz”, odsuwając jednocześnie w niebyt owo doświadczenie skończoności, ale i dziwiąc się po raz kolejny pięknem danego mu tak świata, wędrując po ogrodzie przyszpitalnym, w którym narodziło się większość jego wierszy z tego tomiku. Mowa tu jest o zawartości niedawno wydanego zbioru **Janusza Orlikowskiego** pt. „Raj, który widziałem”.

Dla Orlikowskiego najważniejszym staje się dotyk „opowiedzianego” Słowem, które jak daimonion narzuca w sytuacjach krytycznych autorowi konieczność pisania. Upływ czasu bowiem rozdwaja rzeczywistość inspiracji cięciami pamięci w owym „teraz” i budzi strach podsycany upływem czasu i niepewnością jutra. Upływ czasu przestaje mieć jednak chwilowo znaczenie wtedy, kiedy pojawia się „właściwe Słowo” rodzące wiersz. W utworze pt. „Wokół czasu” poeta pisze: „dotknięty przez słowo poszedłem / choć iść nie musiałem / lecz tak znaczy drogę Konieczność / gdy strach Jej chce zmienić zamiary // (...) tam daimonion sennie się snuje / i na znak czeka z twojej strony / gdy uwolni cię czas albo ty / dotknięty przez Słowo // (...) Dotknięty przez Słowo poszedłem / bo tak drogę znaczy Konieczność / i strach nie ma już znaczenia / ani obecny czas”.

Doświadczenie obecności raju zdarzyło się poecie w czasie pobytu w szpitalu, gdzie bez żadnej konieczności mógł wchłaniać świat przyrody bezpośrednio mu dany, ale tkwiących również w nim z konieczności pacjentów. Poeta wyznaje wtedy, że „nie wierzy, że wierzy”, boryka się z własnym rozumem w tak danej mu codzienności, ale jedynie chce doświadczenia prawdy, co popycha go do analitycznego namysłu nad głębią naszego świata, który z konieczności owocuje kolejnymi wierszami. Pyta więc o sens wiekopomnego dobra opisanego w biblii, organizującego ludzkie człowieczeństwo. Twierdzi, że owa idea dobra jest tak stara, że dzisiaj wydaje się zupełnie nowa. Wola bowiem przeciętnego człowieka nieustannie ociera się o ciszę „nieustannego błękitu”, która jakby uprzytomnia jego wiekopomny sens. Ta sytuacja

egzystencjalno-estetyczna zachęca go do podróży do „rajskiego nieba” w ciszy, w której zawsze pozostaje się z kimś, choćby z samym sobą, a wtedy Orlikowski czuje, że jego wiersze stają się głosami zrozumiale komunikującymi innym sens tego świata dobroci. Choć człowiek jest ciągle rozdwojony między wiecznością i aktualnością, to najlepiej czuje się w ciszy, w której jakby te dwa światy się spotykają i ułatwiają pokonywanie dylematów codzienności.

Poecie odpowiada świadomość czasu, w którym z lubością uczestniczy, bo wie że życie jest skończone, dni policzone. Doświadczenie choroby uświadamia mu także, że cierpienie to samotność, którą może wypędzić z duszy człowieka przyjaźń i troskliwość osób bliski, będących źródłem owej łaski. Zastanawiając się nad fenomenem śmierci, Orlikowski pyta: „czy śmierć to jest taki sen / gdy się nic nie śni”. Rozważa bowiem możliwość istnienia innego, boskiego świata, w którym szuka odpowiedzi na to pytanie, ale nie znajduje i pyta dalej. Jego wyobrażenie i to chwilowe doświadczenie bożego raju, powoduje, że poeta z namysłem pyta czy czasem nie jest to sprawka diabła – kusiciela, który nieustannie podsuwa człowiekowi jedynie zmysłowe wymiary raju. Jednak słowa jak stada ptaków na niebie prowadzi go do prawd kolejnych chwil dnia. Z uporem maniaka draży sensy zmysłowych oglądów świata i pyta czy są one źródłem właściwego rozumienia naszego miejsca w świecie. Wydaje mu się, że świat z takiej perspektywy jest polem walki Boga z Szatanem, którego domeną staje się namacalny upływ czasu i obietnica zmysłowego raju w „teraz”. Ukazuje tę sytuację w biblijnym klimacie relacji między Adamem, Ewą i właśnie samym Szatanem. Podkreśla jednak, że w życiu najważniejszy jest każdy dobrze przeżyty dzień. W wierszu pt. „Ważność” dowiadujemy się, że: „dzień z rozpartym na ramionach słońcem / miarowym oddechem i spokojem oczu // większy waga przebytej grozy / która – jeśli wróci jeszcze // ponownie skupi się w soczewce / jedynej potrzeby: życie // powiększenie niech trwa niczym wieczność / ogrodu // takie jest drzewo / wiadomości dobrego i złego // w nim sączy się ważność: / dzień”.

W tej perspektywie również dom i cisza z jego głębokim mitem kultu słońca i ciepła – to też namiastki raju i dotknięcie dobrotliwej łaski, jak każdy dzień pełen jego promieni. W utworze pt. „Kult słońca” Orlikowski pisze: „czekam na słońce oczom / przydając nieba / jeszcze lato w kalendarzu wśród bliskich / kołysek ciepłych nocy // (...) popłyniemy ciepłą łódką / krwi czerwonej uśmiechu // zatem czekam na słońce / na każde trzy czwarte / ciepła jego muzyki”. To głębokie doświadczenie chwil codzienności, cisza i słońce prowadzą poetę do obojętności w kwestii istnienia / nie-istnienia Boga. Odkrywa w sobie „prywatnego anioła” będącego warunkiem jego „zmartwychwstania”.

Orlikowski ma wręcz Kafkowski stosunek do władzy, która straciła już „figowy listek” przyzwoitości i o nim dawno zapomniał. Straciły swój sens: ideologia, patriotyzm, poczucie godności narodowej – są jedynie bajką, bo dzisiaj: „władza wszak / nie jest funkcją mądrości”, co podsuwa myśl poecie, że przyszło nam żyć w doczesnym „domu zła”. Nasze najbardziej wyrafinowane myślenie zawodzi, a tak naprawdę pozostaną po nas: „tylko wiersze / pisane z dobroci dla ludzi”, ale i „świata”.

Poetę napełniają niekończące się wątpliwości, a więc spogląda na pustą kartkę, patrzy jej „prosto w oczy”, rośnie mu apetyt na kolejne słowa, nerwowo szuka pióra wbitego już w Ziemię, ale niewiedomo gdzie. Często zachowuje się jak nieszczyśliwe dziecko, kiedy pomyśli o znaczeniu słowa, możliwej sławie, śmierci i własnym pogrzebie, jednak ma świadomość, że „tylko grafomani umierają szczęśliwi”. Jednak podąża dalej, choć ciągle zastanawia się „dlaczego jednak idzie”: pisze „List do zdrowia”, w którym prosi go o podanie mu dobrotliwej ręki i wspólną pielgrzymkę przez życie.

W ramach tego doczesnego raju, poeta głęboko przeżywa również pierwsze kroki swoich wnuków: Kevina i Briana – nazywając ich „tuptusiami”, bacznie obserwując ich pierwsze doświadczenia życiowe, ale i strach, który zagląda im w oczy w pionierskich kontaktach ze światem. Do tego raju należy również żona poety, której poświęca dwa panegiryczne wiersze oglądając ich związek w konwencji biblijnych mitów opisujących małżeństwo. W wierszu pt. „Zdania o miłości szczęśliwej” czytamy więc: „myśli o Tobie nie kojarzą marzeń / wspomnieniom umykam w zacisze ramion / mam wrażenie że nie dotyka mnie czas // (...) pożądanie nie doskwiera głowie / jabłko toczy się i toczy / w nieobecny cel // kontemplacja rozkosz duszy i ciała / cichy słownik mało znanych słów / tantryczny smak zapach i dotyk”.

Kontemplując dalej współczesność, poetę przeraża owo Kainowe znamię, które nad nią ciągle się unosi. Jednak każdy słoneczny dzień, kiedy niebo szepce o smaku wina, przychodzi dla poety „pogoda na wiersz”. Pisze gnomiczne miniatury, a w jednej z nich czytamy: „chciałem zapiąć myśli / na ostatni guzik / urwał się // i powstał wiersz”. Marzy, by „mając dziewięćdziesiąt lat umrzeć młodo / obok nagiej kobiety / nad ranem”.

Doświadczenie wierszo-twórcze podpowiada Orlikowskiemu, że „tworzenie jest aktem zgody / gdy poeta mówi nie”. Jednak wie również, że należy mówić „tak”, gdy odkrywa się i widzi choć przez chwilę ów raj i dodaje, że: „(...) i oto cała filozofia – / której tak trudno nadać imię: // życie bez myśli / ale nie bezmyślne”.

Podsumowując, nie trudno zauważyć, że poezja Orlikowskiego jest racjonalnie i wręcz

(Dokończenie na stronie 18)

Poetyckie doświadczenie skończoności człowieka

(Dokończenie ze strony 17)

logicznie wyrafinowana, a nawet wyrachowana. Nie może to dziwić, bo z zawodu jest matematykiem i ona dla jego twórczości stanowi ową „filozofię pierwszą”, w której tkwi *arché* jego inspiracji emocjonalnych, owocujących „słowem-wierszem”. Pomimo wielu rozterek natury metafizycznej, próbuje stworzyć poetycki klimat liryczno-panegiryczny w duchu nowej formy epikureizmu z elementami tzw. „stoickiego spokoju”, które łączyłyby mityczne formy raju z jego elementami doczesnymi, ukazującymi się poecie w chwilach codzienności, które dają człowiekowi owe i upragnione poczucie wieczności w kontekście wszystkich możliwych konieczności rządzących jego codzienną egzystencją.

prof. Ignacy S. Fiut

Janusz Orlikowski, „Raj, który widziałem”. Projekt okładki: Damian Siwiaszczyk, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2016, s. 56.

Jak blisko czy daleko jest nam do Jerozolimy?

Mirosław Dzień (ur. 1965) mieszka w Bielsku-Białej. Słabo obecny jest na poetyckiej mapie dzisiejszej Polski, a przecież być powinien, bo jest intrygującym przedstawicielem nurtu współczesnej poezji metafizycznej. Może ten fakt jest przyczyną nieusprawiedliwionej absencji? Pewnie tak jest. Wielka szkoda.

Wystarczy zapoznać się z ostatnim tomem wierszy Mirosława Dzień, aby przekonać się, że mamy do czynienia z poetą z górnej półki. Książka ukazała się w Bibliotece „Toposu” jako 85 tom i nosi tytuł „Linia”. Wielokrotnie w tych wierszach pojawia się słowo *Jerozolima*. Byłem w tym świętym mieście parę lat temu i nigdy go nie zapomnę! Jerozolima jest we mnie. Ująłem to w wierszu:

*Jeruzalem
Jeśli zapomnę Tobie
Niech przestanie bić
Moje serce
Niech przestaną widzieć*

*Moje oczy
Niech uschną na drzazgę
Moje słowa*

*Przez bramę
Czterech Lwów
Wchodzę do Miasta
Siedemnaście razy burzonego
aby nabrać odwagi
Na ostatnie lata
Życia mego*

*Dziękuję Tobie
Jeruzalem
na nowo odrodzonego*

Mirosław Dzień uważa, iż nam wszystkim blisko jest do Jerozolimy, ponieważ możemy się do niej zwracać słowami:

*Jerozolimo, matko nasza,
opłakana raz na zawsze,
utulona w herezji tak ludzkiej,
że wpisanej w boskie wzruszenie*

Emil Biela

Mirosław Dzień, „Linia”. Biblioteka „Toposu”, Sopot 2016, s. 58.

Efemeryczność w poezji Teresy Wolskiej Gęsiarz

Każda myśl jest zagrożona bliskim unicestwieniem. Przez setki lat literaci na całej kuli ziemskiej trudzą się, by zatrzymać myśl zaklinając ją w słowa i uwieczniając w księgach.

Teresa Wolska to kobieta, która przeżywa samotność pod pierzyną swoich wierszy, ukrywając się w zatoce refleksji czekając jednocześnie na promyki natchnienia. W tomiku aż kipi od grzesznych myśli i niedomówień.

*...dotkniemy zenitu naszych żądz
zatracając się w sobie
chodź*

Autorka bardzo umiejętnie pozostawia wolną przestrzeń na wyobraźnię i wnioski czytelnika. Chwile, które doświadczamy w naszym codziennym zwykłym życiu są bardzo ulotne. Nie da się ich zamknąć w pudełko razem ze wspomnieniami. Ten zbiór wierszy to niewątpliwie dialog autorki z osobą bliską jej sercu. Raz cieszy się z jej obecności, innym razem dostrzega jej brak i to jest najlepszy przykład na zobrazowanie marności chwili.

*ona przychodzi po cichu
gdy życie układa usta
na kształt pożegnania
a ostatnia godzina*

*maluje zamknięte powieki
zmierzchem*

Kiedy człowiek jest zakochany, aż chce się powiedzieć chwilo trwaj, lecz gdy jesteśmy przygnębieni wierzymy, że nic nie trwa wiecznie. Można wysnuć wniosek, że paradoksalnie efemeryczność chwil jest pewną stałą wartością we Wszechświecie podobnie zresztą jak chaos. Wiersze, które zrodzone z chwili mają swoje źródło w chaosie refleksji nad egzystencją.

Poetka czuje się samotna, pomimo że żyje wśród bliskich jej osób. Przeżywa różne stany emocjonalne, których owocem są właśnie wiersze w tomiku „Ulotność chwil”. Być może autorka nie zdawała sobie sprawy z ulotności chwil, dlatego w wielkim bólu niczym prawdziwe perły urodziła piękną poezję.

*rozpadam się na kawalki
czekając aż znów
złożysz mnie w sobie całą
spiesz się bo znikam*

Ludzie w owczym pędzie za pieniądzem często bagatelizują relacje ze środowiskiem społecznym, z bliskimi, z rodziną, co niestety skutkuje tym, że zostajemy osamotnieni w momencie, gdy przypomnimy sobie o potrzebie bliskości. Przemijanie jest naturalnym procesem, wpisanym w nasz scenariusz życia. Zdaję sobie sprawę, że są osoby, które chciałyby żyć wiecznie. To zwyczajni szaleńcy. Wieczność jest nudna i nie do zniesienia.

*pamiętasz
czas płynął nieubłaganie
bez litości odebrał romantyzm tamtych chwil
i zapach poranków
pamiętasz
kiedy przestały lśnić moje włosy...*

Świat zbyt szybko się obraca, zbyt kruche jest życie, by nie doceniać go. Warto zatrzymać się na chwilę, wziąć do ręki tomik „Ulotność chwil” Teresy Wolskiej Gęsiarz, by wspólnie z autorką przejść cały proces transformacji, zadumy nad efemerycznością wszystkiego, co nas w życiu spotyka. Zarówno pozytywnego jak i negatywnego. Nie użyję więcej cytatów z wierszy. Nie chcę nikomu narzucać pryzmatu spojrzenia na problem. Uważam, że należy zatopić się w każdy wers.

Nie odkładajmy niczego na później gdyż możemy stracić szansę, by powiedzieć komuś słowo „Kocham”. A przecież my, poeci, wiemy najlepiej, że słowa mają wielką wagę. Słowa są jednym z najpiękniejszych upominków, by obdarować ukochaną osobę. Słowa to nie kwiaty – nie usychają, nie więdną, nie przemijają. Tomik, który proponuje nam poetka Teresa Wolska Gęsiarz, to wiersze, którymi kreuje przestrzeń do różnorodnej zadumy nad ludzką postawą wobec upływu czasu, zjawisk, ludzi pod wpływem emocji nasączonych cierpieniem, tęsknotą, pragnie-

niem bądź euforią. Słowa, metafory i środki ekspresji, których użyła autorka wierszy są swoistą panoramą dla aspektów niestałości uczuć. Bogaty wachlarz zaprezentowania myśli. Nie od dziś poezja jest doskonałą formą prezentacji zjawisk, które minęły.

Poezja Teresy Wolskiej to atramentowe kropelki kapryśności uczuć zastygłych w szarej prozie życia. Wiersze Wolskiej pisane są językiem bardzo emocjonalnym, trafiającym wprost do serc czytelnika niczym strzała cupidyna.

Magdalena Kapuścińska

Powrót poety do świata bajecznego dzieciństwa

Krakowski pisarz – Stanisław Franczak ukończył już 70 lat. W jego drodze życiowej pisarstwo stanowiło chyba najbardziej istotny moment nadając sens jego egzystowaniu. W tym czasie opublikował ponad 50 książek poetyckich, prozatorskich, ale i naukowych. Po roku 1989 założył m.in. pismo „Forum Myśli Wolnej. Krakowski Magazyn Racjonalistów”, a do tej pory ukazało się już 70 jego numerów. Pisarstwo tego autora charakteryzuje się pewną specyfiką charakterystyczną dla autorów chłopskiego pochodzenia, którzy w wyniku wysiłku edukacyjnego w okresie PRL-u doświadczali awansu społecznego, co niewątpliwie powodowało wiele zwrotów w ich twórczości, choć jej rdzeń pozostawał właściwie taki sam. Uważali, że to biedne dzieciństwo stanowiło ów „pierwotny raj”, który na całe życie ukształtował zręby ich osobowości twórczej. Kolejny tomik poezji krakowskiego pisarza został wydany pod zastanawiającym tytułem: „na łące kwitną wiersze” i wydaje się potwierdzać tę prawidłowość psychospołeczną.

Na pierwszy rzut oka można sądzić, że jest to poezja liryczna o rustykalnym rodowodzie. Niestety – tak nie jest, choć dla niewtajemniczonego czytelnika, mogłoby się tak wydawać. Zebrane tu wiersze powstały z inspiracji kołatających się w głębokich pokładach pamięci autora wspomnień, przeżyć, które nigdy nie straciły świeżości i atrakcyjności dla poety, a z latami stawały się coraz bardziej powszednim chlebem jego życia. Mówiąc prościej – tego świata rzeczywistości już nie ma, ale żyje w sercu i umyśle poety, który w dojrzałym wieku przywołuje go do bytu z doświadczeń dzieciennych i młodzieńczych, resetowanych kolejnymi odwiezdanymi rodziną i przyjaciół w Bieńkowiec

rozłożonej u podnóża Turbacza królującego nad Gorcami w dorzeczu Skawy. W wierszu otwierającym tę książkę pt. „spowiedź” autor pisze: „W moich żyłach płyną/górskie potoki i krzyczy jastrząb/zawsze głodny raniący niebo gdy/skrzydłami przecina horyzont/i podtrzymuje chmury nad ziemią//echo snów pasterzy niebieskich/odbija się we mnie i powtarza/lament owiec czekających na udój//w głowie szumi wieczór i pijane lasy tańczą zbójnickiego a księżyc/gra na skrzypkach smętną melodię//I wiersze rosną na rozstajach myśli/zielonych łąk jak daleki sen”. Franczak dokumentuje więc te obrazy słowem w formie wierszowanych narracji i idealizuje ten odeszły na zawsze świat. Na jego gruzach buduje własne siedlisko wieczności, do którego podąża drogą tworzonej serii wierszy. Właściwie mamy tu do czynienia ze zwrotem nie tylko geo-poetyckim, ale i metafizycznym, celem których jest próba przewycięzania małości jednostkowego bytu człowieka i wstępowanie na drogę budowanego nowego porządku transcendentnego, w którym poeta mógłby oprzeć się nieubłagalnemu upływowi czasu. W wierszu pt. „odliczanie czasu” dowiadujemy się, że: „(...) Już czas wziąć blade dzień na / barki i pobiec z nim wprost przed / siebie tam gdzie czeka nas / szklana wielka niewiadoma // tylko // zegar na stole zdyszany/i odlicza nasz własny czas życia / potwierdzając notarialnie dokument / czerwona okrągła pieczęcią”.

Innym ważnym elementem dającym wręcz bajeczny wymiar poezji Franczaka jest przydawanie istotności duchowej światu zwierząt i roślin, a nawet starym chatom, obejmciom gospodarczym, ale i lasom, strumykom, rzekom i jeziorom. Dobrze ilustrują tę specyfikę liryczno-antropomorficzną poezji Franczaka utwór pt. „o świecie”, gdzie czytamy: „o świecie krzyk słońca / budzi drzewa które / przecierają zielone oczy / i uczą się alfabetu dnia / ptaki siadają na ich rekach / i poprawiają swe gniazda // zroszone liście oddychają / w słońcu pełnymi zdaniem / wiatr chesze ich sny / układając modne fryzury // drzewa przeglądają się / w niebieskim lustrze i / poprawiają wróżby / pogody na cały dzień”.

W tym planie jego bajeczności jest także przywoływaniem do życia ludzi w tym idealizowanym świecie, którzy w realnym życiu uchodzili za odmienców, bazarzy, czyli ludzie niekiedy postrzegali jako wcielenia różnych lokalnych proroków, znachorów wieszczących właśnie istnienie owych alternatywnych światów duchowych włącznie z tym idealnym, posiadającym boskie wymiary zgodnie z ludową wyobraźnią. Ważną w wymiarze etnicznym tej poezji jest metafora targu, kościoła, kapliczki, dorocznych świąt i towarzyszących im obyczajów, które właściwie można we fragmentach odnaleźć dzisiaj tylko w skansenach. W wierszu pt. „Walek z grapy” czytamy więc: „garbaty walek dzwoni codziennie/na nieszpory i anioł pański / przyjaźni się z czarnymi wronami / zamieszkałymi na wieży a pająkom /

łapie ćmy i tłuste muchy / myszom przynosi ofiarę ze zboża // ludzie go nie rozumieją / chodzi taki mamrocze w koło/niemy i głuchy jak kamień / rozmawia tylko z wiatrem i / drzewami słuchając gwiazd nocą / wędruje we śnie po całym świecie // garbaty walek jest wybitnym poetą”.

Chyba jednak najważniejszą metaforą w tym nieustającym nawrocie i doświadczania upływu czasu jest łąka rozciągająca się między polami uprawnymi, wiklinami i lasami, ale i jej dynamika wegetacyjna przez cztery pory roku. Na przełomie wiosny i lata eksploduje kwieciami i pełnią życia, wieszcząc „kolorową rewolucję”, która – niestety – upada jesienią za sprawą kosiarzy wprowadzających harmonię w nieustającym wariabilizmie „powstawania, rozkwitu i nieubłagalnego giniecia” W utworze pt. „dojrzewanie rewolucji dowiadujemy się, że „polna łąka odzywa znów we mnie / i wybuchła wszystkimi kolorami / kwiaty i zioła wiecują od rana / policja owadów inwigiluje kwiaty / zielony tłum traw wykrzykuje hasła / które w ukryciu pisze wiatr na niebie / krople rosy jak lzy wybuchną za chwile // kosiarze ostrzą kosy by stłumić rewolucję”.

W ten sposób poeta poniekąd zbliża się do dyskursu poetyckiego Bolesława Leśmiana, który tak skutecznie i przekonująco pokazał głębokie związki fizyczności świata i człowieka z jego metafizyczną i transcendentną ich duchową podstawą bytową. W utworze zamykającym ten tom poeta jakby zapisuje własny testament poetycki, o którym niejednokrotnie wspominał we wcześniejszych wierszach, kiedy wyrastały na łanach jego osobistego świata, który pewnie chce zabrać z sobą do wieczności. W „zimowej bajce” pisze: „na nagich gałęziach jabłoni / wiszą srebrne sople myśli / powieszzone jeszcze jesienią porą / które słońce czyta przez okulary // wróble zbierają pracowicie / pojedyncze słowa które czasem / spadają na martwą ziemi // układają z nich wiersze o / dojrzałych kłosach zboża i lipcu / pełnym koszy wspomnień”.

Sądzymy, że warto sięgnąć po tę pozycję poetycką, by posmakować piękna dojrzałej, wyrafinowanej poezji, odbyć z autorem drogę do korzeni jego świata, która dla wielu Polaków była bardzo podobna. Warto też zwrócić uwagę na ten tomik poezji młodszym pokoleniem sympatyków dobrej literatury, bo ułatwia ona szersze rozumienie naszej kultury duchowej narodu, zarówno z dobrej, wzniosłej strony, ale i tej gorszej, wynikającej z nieporozumień, jednostronnego i płytkiego pojmowania wymiarów świadomości narodowej.

prof. Ignacy S. Fiut

Stanisław Franczak, „na łące kwitną wiersze”. Wydawca: Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie. Projekt okładki i grafiki w tekście: Barbara Pietryka, Kraków 2016, s. 110.

Błyski



OB według Dudzińskiej

Krew i woda – dwa równoległe nurty określające w sensie biologicznym i symbolicznym egzystencję to tytułowy i wiodący motyw tomu „OB. Krew i woda” Lucji Dudzińskiej. Należy dodać, że tom zbiera wiersze z kilkunastu lat twórczości poznańskiej poetki i ma, co wyraźnie daje się odczuć, wyjątkowo osobisty charakter.

Anna Dominiak

Szczególnie ważnym i nie bez związku z tytułem wydaje się być w tym zbiorze problem metapoetyki, przyglądanie się wewnętrznym procesom i próby rozwikłania fenomenu narodzin wiersza. Sporo tu tekstów dokumentujących samowysłuchiwanie się, autoanalizę i refleksję nad własną wrażliwością i własnymi relacjami ze światem. Daje się też odczytać wyraźny wewnętrzny imperatyw uporządkowania wiedzy o sobie samej, z którego wynikają próby definiowania, dookreślenia, doprecyzowania.

Ta poetycka autobiografia pokazuje starcie dwóch światów: zewnętrznego, obiektywnego i immanentnego, niedającego się zamknąć w jednoznaczny opis, świata mocnej, autorskiej duchowości. Jest to książka o koegzystowaniu subtelnej poetyckiej jaźni z jakże często obcą rzeczywistością zewnętrzną. Ten tom to jednocześnie zapis osobliwej gry językowej (ściśle: słowotwórczej) – poetka tytułuje swoje utwory leksemami zaczynającymi się przedrostkiem – ob. O produktywności tego formantu świadczą mnóstwo słów, których jest składnikiem, a które odgrywają niebagatelną rolę w poetyckim opowiadaniu o sobie, zaryzykujemy, samej Lucji Dudzińskiej. Mamy tu więc: obojętność, obdukcję, obiekty, obrazki, obecność. Ten niebanalny zabieg kompozycyjny stał się pretekstem do zaprezentowania tych fragmentów życia, które uznała poetka za warte utrwalenia. Obrazy te czynią z książki swoisty patchwork, zbierający reminiscencje, impresje i poetycko przetworzone refleksje. Podstawowe skojarzenie tytułowego OB odnosi się jednak do używanego w diagnostyce terminu medycznego i do tej właśnie pierwszej

asocjacji nawiązuje autorka w Prologu, w którym różnicuje dwa semantyczne zakresy (OB – Ob).

Już inicjalny tekst zdradza silne zainteresowanie poetki wspomnianymi kulisami procesu twórczego. I pada tu znamienna, samouświadomiona refleksja, że akt twórczy warunkowany jest trwaniem w organizmie stanu podwyższonej gotowości, który jednoznacznie dowodzi toczącego się w nim procesu zapalnego. Stąd konsekwentnie wyprowadzona metafora krwi – atramentu:

*proces zapalny się nie cofnął i nie cofa, postępuje
i przestępuje
z jednego brulionu na drugi (w nieladzie
i bazgrołach).
Boli, pobolewa, zaraża myśli, słowa, język. Krwawi
na niebiesko
(„OB – Ob”)*

Dudzińska dodatkowo dużą wagę przywiązuje do motywu akwaticznego, utożsamiając egzystencję z żywiołem wody, która nieustannie zmienia wektor. Życie, szczególnie poety, jest często płynięciem wspan, wbrew, z balastem świadomości nieprzystosowania. I niestety, owoce tej dotkliwej osobności nie zawsze wynagradzają towarzyszące jej cierpienie. Już w pierwszym wierszu, w którym dotyka zmagani poety z losem, ze światem i z własną wrażliwością werbalizuje przeświadczenie o tym, że przeznaczeniem poety jest smakowanie goryczy niezrozumienia, mówienie do głuchych słuchaczy, granie na niemej harfie. Ale poetka z dumą konstatuje, że nie zabiega o aplauz odbiorców:

*Znalazłam sposób na obojętność. Obralam na–ten–
czas strategię. Muszę być samowystarczalna! Nie
szukam widza, słuchacza
ani czytelnika. Powinam obowiązkowo
„obłądnie” pisać.
I czasem coś napiszę. I nikogo to nie obchodzi.
/Obojętność – OB/*

W tym samym tekście jednocześnie mówi o poszukiwaniu w sobie innych osób, o poczuciu niepokoju i niewystarczalności. Jak widać wnioski z zaprezentowanej tu wiwileksji nie są jednoznaczne. Jednak w wierszach obejmujących ten właśnie krąg autotematycznych zagadnień możemy bez trudu odnaleźć walor uniwersum. Z przeżyciami bohaterki tomu mogą się przeciwieć, mniej lub bardziej identyfikować wszyscy zarażeni potrzebą pisania czy też tworzenia w ogóle.

Tom ten mieści także reminiscencje minionych zdarzeń filtrowane świadomością kobiety dojrzałej do tego, by je nazwać i odnaleźć w nich ponadjednostkowy walor. W deklaratywnie brzmiącym tekście „Obawa. Mentalność” opisuje proces krystalizowania się osobowości kobiety – artystki, krzepnięcia z towarzyszącym mu procesem samouświadomienia, zbliżania się do trudno uchwytej prawdy o sobie. Jej dojrzewanie ma tu bowiem walor podwójny: to przeistaczanie się w kobietę i zarazem stawianie się poetką. W tekście opatrzonym znamienym tytułem wspomina uniesienia towarzyszące poetyckiej inicjacji:

*Zostałam
posłubiona niezapisanym i nienapisanym
wierszom.
Chcę wspominać: jaskółki krojące w locie
przestrzeń,
krwawe maki na łąkach, zranione drzewa przy
drodze.
(„Obrączka. Załążek”)*

Poetka jednak wie, że tworzenie to dotkliwie poczucie braku, nieosiągalnej pełni oraz to, że ból kreacji pozostanie tylko jej własnym bólem.

Tom mieści także wiersze o wyraźnie wspomnieniowym charakterze. W jednym z nich napotyka motyw domu, ale ujęty zupełnie niekanonicznie. U Dudzińskiej został on poddany zabiegowi demitologizacji, pozbawiony trwale przypisanym mu znaczeń. Dom sprowadzony do konstrukcji z pustaków jest obiektem bez fundamentów, za to rozrastającym się o kolejne, służące obronie ściany. Poetka wspomina przy tym także trud wznoszenia murów w siermiężnej rzeczywistości minionych lat:

*Rodzinny dom się rozrasta o kolejne ściany bez
fundamentów.
Wystarczy ten pod jednym pokojem – za to solidny z
piwnicą.
Ciekawy obiekt obronny. Zbierane polne kamienie
służą
do wzmocnienia, ozdoby i wstrząsu mózgu.*

Osobista biografia osadzona tu została w historycznym kontekście powikłanych losów Polski, dlatego odnajdujemy też taki zapis:

*W naszym domu jest dużo szeptów, stłumionych
rozmów,
musiałam je rozumieć oraz dźwigać jak posag.
Dźwigam ten ciężar, mierząc na starej wadze.
(„Obciążenie”)*

Z tej rodzinnej historii wylaniają się mocne figury najbliższych: dziadka, który jest źródłem wtajemniczeń, babci – nosicielki cech typowych dla jej społecznej roli, matki, ojca, siostry, męża, dzieci... W każdym z wierszy poświęconych tym ważnym osobom odnaleźć można uważność i czułość. Poetka jednak bynajmniej nie wpada tu w pułapkę sentymentalizmu czy banalnego ujęcia:

*(...) Jestem zakochana?
Czy można pytać o to siebie? Czy można tak wprost
pisać
o ciągłym głodzie i pragnieniu? Drzwi autobusu
zamykają się.
On zostaje sam na przystanku. Ciemno wszędzie,
w autobusie
nie widzę ludzi, tylko puste miejsca (...)
(„Oboje – obstalunek”)*

Walorem tomu jest dająca się wyczuć od pierwszej do ostatniej strony bezkompromisowość i autentyczność przekazu. Lucja Dudzińska swojego życia ani nie estetyzuje, ani nie ubiera w mity. Podmiot jej wierszy to nie tylko podmiot wyrażający, ale przede wszystkim nasłuchujący, rejestrujący najdrobniejsze drgania świata, świadomy nierozrwalnego związku z tworzeniem, o silnie ukonstytuowanym poczuciu odrębności percepcji. Nie można jednak powiedzieć, by tom ten był zapisem egotycznych myśli. Opisując własne, kluczowe doświadczenia, odsłania nam poetka swoje spotkania ze światem, którym zawdzięcza ukształtowanie twórczej tożsamości.

Lucja Dudzińska, „Ob. Krew i woda”. Wydawca: Biblioteka Poezji NA KRECHĘ, Poznań 2015, s. 55.

Filozofia codzienności (120)



Część możliwości nie zostanie zaktualizowana na miarę tęsknot człowieka, bo przeszkodą staną się przychodzące z zewnątrz nakazy i zakazy. Etyka autonomiczna sprzyja natomiast urzeczywistnieniu poznawanych w kresie całego życia tkwiących w nas możliwości oraz poglądów. Przybiera to niejednokrotnie wyraz heroiczny.

Etyka heteronomiczna wskazuje na przyrodę albo na Boga jako źródło nakazów i zakazów moralnych. Jest ona powszechnie znana i nauczania w Polsce. Większość naszego społeczeństwa jest przekonana, że należy być dobrym z powodu nakazu Boga. Sposób pojmowania dobra różni przedstawicieli poszczególnych wyznań chrześcijańskich. Moralność heteronomiczna wyrasta z lęku przed gniewem Boga i karą za grzechy. Ogranicza ona aktualizację tych możliwości i ich ukierunkowanie, które hierarchowie Kościołów uotożsamiają ze złem. Strach przed piekłem funkcjonuje w umysłach zdecydowanej większości Polaków.

Wielu myślicieli – nie kwestionując istnienia Boga – zadaje jednak pytanie czy należy cenić etykę opartą o lęk przed karą. Wyjaśniają, że człowiek rodzi się jako istota wolna i sam ma decydować o wyborze teorii etycznej zgodnie z którą by żył albo jest uprawniony do tego, by konstruować własną. Według autonomicznych teorii etycznych, człowiek jest moralny, o ile moralność nie wpływa z lęku przed karą, lecz z chęci bycia moralnym.

Z etyką heteronomiczną zespolona jest koncepcja Boga wyobrażanego na wzór człowieka. Dodam na marginesie, że są dzieła literackie – odwołam się do przykładu dramatu Henryka Ibsena pt. „Brand” – w których pisarze wyrażają pogląd, że pojmowanie Boga na podobieństwo człowieka jest wyrazem chęci oswojenia się z tym, co niepoznawalne. Takie pojmowanie Boga uspokaja, bo sugeruje, że czuwa nad nami dobrotliwy ojciec, który przyjdzie nam z pomocą, a po śmierci zaopiekuje się nami. Interesujące, że ujmowanie Boga jako uosobienia dobra występuje w zdecydowanej większości wyznań religijnych mimo, że dookoła obserwuje się cierpienia, dramaty, choroby i śmierć. A przecież wyznania te w swej większości przypisują Bogu nie tylko dobroć, ale wszechmoc i wszechwie-

dzę. Nie ma odpowiedzi na pytanie dlaczego dobry Bóg godzi się na cierpienia, choroby i nieszczęścia? Dlaczego dobry Bóg stworzył człowieka wyposażając go w instynkt samozachowawczy jako najsilniejszy i zarazem skazuje na śmierć? Można by wszak stworzyć istoty śmiertelne, ale nie obdarzone aż tak silnym pragnieniem życia jak człowiek i zwierzęta.

Pogląd powszechnie znany, według którego Bóg ingeruje w życie poszczególnych osób uzasadnia bierność i oddawanie się modlitwom. Wiąże się z przekonaniem, że urzeczywistnimy w swoim istnieniu plan Boga, a więc nie musimy wkładać wysiłku w kształtowanie siebie. Inaczej wygląda ten problem w życiu tych, którzy zawieszają problem istnienia Boga, stwierdzając, że każdy jest odpowiedzialny za własne życie oraz jest dla siebie ostatecznym oparciem.

Fakt istnienia, bądź nie istnienia Boga jest naukowo nierozstrzygalny. Jest to sprawa wiary. Również problem czy są w Kosmosie inne istoty, jakie mają właściwości, jak wyglądają, też nie powinien mieć wpływu na nasze życie.

Jeżeli przyjmujemy, że Bóg nie jest osobą lecz potężną energią przenikającą wszystko, co istnieje, a więc i człowieka, to w takim razie zobowiązani jesteśmy wobec siebie wciąż wydobywać z własnego ja nowe możliwości. Nie można oczekiwać bowiem ingerencji Boga, a w tym jego pomocy. Pogląd o jedności Boga i świata, a więc koncepcja nieosobowego Boga, nie ogranicza ani wolności człowieka, ani nie prowadzi do ukierunkowania naszych sił psychofizycznych. Pozwala na decydowanie o sobie w czym nikt nas nie może wyręczyć jeśli chcemy zachować własną wolność.

Słyszmy nieraz opowieści, że ktoś zawdzięcza coś istotnego Bogu. Jeżeli przyjąć, że Bóg ingeruje w życie jednostek, to niemożliwe jest wyjaśnienie faktu, że pomagając jednemu, pozostaje całkowicie obojętny wobec cierpień innych osób żarliwie modlących się o pomoc. Holocaust, by powołać ten przykład, czy dziś prowadzone okrutne wojny, powodują w świetle tego rozpaczliwe pytanie, dlaczego Bóg nie broni ludzi przed bezmiarem okrucieństwa? Zabijani na wojnach, błagają Boga o pomoc chcąc przeżyć.

Wiara w Boga nie powinna mieć wpływu na postępowanie człowieka. Nie powinno się czekać na ingerencję Boga, lecz podejmować działania, przezwyciężając tym samym bierność. Wierzyć należy we własne siły i możliwość osiągnięcia celu do którego się zmierza. Bywają osoby obdarzone dużą wrażliwością i uczuciowością, nękane wewnętrznymi wątpliwościami co do swojej wartości. Powstają w nich rozmaite zahamowania. Trudno jest im dążyć do tego, co uznają za słuszne, bo mają poczucie, że nie dorównują innym. Te wątpliwości wobec siebie sprawiają, że stają się podatni na wpływ innych osób oraz mediów. Nawet uznanie otoczenia nie zawsze

pozwała przezwyciężyć ten brak pewności siebie.

Poczucie własnej wartości nie ma nic wspólnego z zarozumiałstwem. Stany ambivalencji prowadzą do tego, że można wierzyć w swoje możliwości i jednocześnie czuć się gorszym od innych, co hamuje wysiłki. Oczywiście, zachwyt nad sobą jest wyrazem głupoty. Poczucie, że jesteśmy lepsi niż inni wywołuje lekceważący stosunek do innych osób. Nadmiernie krytyczna ocena tych, którzy nas otaczają prowadzi do utwierdzania siebie, w swojej rzekomej wspaniałości. Ci, którzy nie mają wątpliwości wobec własnego ja – nie zdają sobie sprawy, że mają rozmaite właściwości, które oceniają negatywnie, ale w drugim człowieku. O wiele bardziej twórczy jest brak pewności siebie niż zadowolenie z siebie, powodujące stagnację.

Niezadowolenie z siebie jest twórcze, bo dostrzega się rozbieżność między wyobrażeniami o sobie a faktycznym ja. To niezadowolenie bywa szczególnie potrzebne, by przezwyciężać własne wygodnictwo. Ale jednocześnie niezadowolenie z siebie powoduje, że chwycie się oparcie jakim jest własne ja dla każdego z nas.

Niektórzy to niezadowolenie z siebie nazywają wyrzutami sumienia. Jednakże pojęcie sumienia jest kategorią religijną i do tego wieloznaczną. Wyrzuty sumienia wyznawców określonej religii nie mają zasięgu powszechnego wśród osób religijnych. Na przykład, sumienie Świadków Jehowy czy wyznawców religii Armii Zbawienia nie pozwala na udział w wojnach. Sumienie wyznawców dużych liczebnie religii chrześcijańskich pozwala na wojnę patriotyczną oraz na udział w wojnach religijnych. Przyznawanie sumieniu rangi nadrzędnej w stosunku do przepisów prawnych prowadzi do chaosu w życiu publicznym. Bardziej uniwersalną kategorią jest poczucie honoru, o czym pisałam obszerniej w książce „Człowiek uwikłany”.

Ażeby odważnie urzeczywistniać szczytne cele należy krytycznie oceniać tradycje. Stawanie się jej niewolnikiem ogranicza człowieka. Warto do niej sięgać zwłaszcza po to, by odnajdywać poglądy niedocenianych polskich myślicieli. Absurd polega bowiem na tym, że my, Polacy, chętnie przejmujemy myśl Zachodu, a lekceważymy dorobek polskich uczonych i artystów. Są oni w konsekwencji bardziej znani w innych krajach niż w ojczyźnie.

Wzrasta potęga naszych sił psychofizycznych jeżeli odrzucamy rzekomo niepodważalne prawdy. Wymaga to między innymi zmiany stosunku do cielesności. Stanowimy jedność psychofizyczną i powinniśmy umieć bronić się przed panującym, moralnym potencjalnym doznań zmysłowych.

cdn.

Maria Łayrakowska

Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Jaki piękny dzień

Jaki piękny dzień, co za piękny dzień, ten dziesiąty dzień września, sobota, roku 2016. We Wrocławiu, w Polanicy Zdroju, w Chotomowie pod Warszawą koło Legionowa, w Zelowie, w Dąbkach na bałtyckim morzem, w Drozdowie obok Łomży, we wszystkich zakątkach Polski, jaki piękny dzień, co za piękny dzień ten dziesiąty dzień września. Jak złote boskie wino leje się z nieba słońce. Jaki piękny dzień, co za piękny dzień ten jedenasty dzień września, niedziela. Wszędzie w Polsce temperatura ciepła w cieniu, od 26 do 30 stopni Celsjusza. Jak złote boskie wino leje się z nieba słońce. A my, jak zwykle siedzimy razem przy okrągłym stole, ale tym razem nie w *salonie mych myśli*, ale tym razem na tarasie przy *salonie mych myśli*. Na tarasie, aby się mogły radośnie nasłonecznić te wszystkie mroczne myśli, jakich nam życie nie szczędzi, jakich nam życie nie żałuje, tak jak nam nigdy, przynigdy nie żałuje smacznego wina nasza błękitnooka i złotowłosa Wiosna w *salonie mych myśli*.

– Boże mój, Boże! Drogi nasz Autorze – pełnym głosem zaśpiewała swym bursztynowym głosem Wiosna – jakbym mogła żałować smacznego wina moim przyjaciółcom. – Mówcie co chcecie i czego chcecie. Ja zaraz przyniosę kieliszki i wszystko to, czego do nich potrzeba. Przecież musimy ugasić pragnienie. Żeby żyć, trzeba pić na tarasowej arenie.

– Przemiała Wiosno! – odezwał się swym rubinowym barytonem filozof Pan Nietwór. – Dzięki ci za to wszystko co chcesz dla nas uczynić, ale dzisiaj na naszym jakże nasłonecznionym spotkaniu na przekór powszechnie przyjętym zwyczajom, winem służącym nie do

ugaszenia, ale dla powiększenia naszego pragnienia będą słowa poety wypełniające różnobarwne i różnokształtne kieliszki wiersza. A więc mówiąc między Bogiem a prawdą, powiem „Między Bogiem a prawdą”.

*Miedzy Bogiem a prawdą
stoi nieprawda i udaje prawdę
dzięki Bożemu miłosierdziu
staje się prawdą
tym sposobem my – człowiek
idziemy nieprawdziwą prawdą
od początku naszego życia
drogą nadziei
Pojawia się pytanie
dokąd dojdziemy
między Bogiem a prawdą*

Jaki piękny dzień, co za piękny dzień ten dwunasty dzień września, poniedziałek. Jaki piękny dzień, co za piękny dzień, ten trzynasty dzień września, wtorek. W Białymstoku 24°C w cieniu, a we Wrocławiu na Dolnym Śląsku 31°C ciepła w cieniu. Jak złote boskie wino leje się z nieba słońce.

– Jak ten czas szybko leci, tak jak spłoszony ptak, ptak perkoz, który ma swą ulicę w Gliwicach – odezwała się swym szmaragdowym altem piwnooka, jak heban czarnowłosa Luna.

– Droga Luno! Z jakiej to racji przyleciał ci do głowy ten spłoszony ptak perkoz – zapytał srebrzystym tenorem asystent Daniel Spaniel.

– Drogi Danielu, z takiej to racji, że prawie przed chwilą był jeszcze siedemnasty dzień czerwca, piątek. Tuż, tuż przed początkiem lata. Właśnie wtedy nasz Autor był w Gliwicach na ul. Perkoza nr 12. W jakim celu i z jakiej przyczyny posłuchaj, przeczytam – powiedziała Luna.

Zaproszenie na spotkanie literackie PO-ECI BEZ GRANIC, 17 czerwca 2016 r. (piątek) godz. 18.00. Filia nr 5 Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gliwicach, ul. Perkoza 12. Wystąpią:

1. Andrzej Bartyński: poeta, krytyk literacki, pieśniarz, animator kultury, przez 25 lat Prezes Dolnośląskiego Oddziału Związku Literatów Polskich we Wrocławiu, a obecnie Prezes Honorowy tego Oddziału. Pomysłodawca i współtwórca Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Poeci bez granic” w Polanicy Zdroju.

2. František Všeticka: poeta, krytyk literacki, profesor literaturoznawca, historyk literatury czeskiej, tłumacz literatury polskiej na język czeski oraz pracownik naukowy Uniwersytetu w Ołomuńcu, członek Związku Literatów Czechich – wielki przyjaciel polskiej kultury i literatury.

3. Kazimierz Burnat: poeta, krytyk literacki, publicysta, edytor, tłumacz, dziennikarz, wydawca, Prezes Dolnośląskiego Oddziału Związku Literatów Polskich we Wrocławiu oraz Przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich.

4. Andrzej Dębkowski: poeta, krytyk literacki, publicysta, wydawca i dziennikarz. Re-

daktor Naczelny „Gazety Kulturalnej”. Członek Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich i członek Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich.

5. Andrzej Walter: poeta, krytyk literacki, publicysta, fotografik, członek Zarządu Krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich oraz członek Komisji Kwalifikacyjnej przy Zarządzie Głównym ZLP. Redaktor Etygodnika Literackiego *Pisarze.pl*.

Jaki piękny dzień, co za piękny dzień, ten siedemnasty dzień czerwca, piątek, roku 2016. A sprawcą naszego poetyckiego spotkania z czytelnikami i publicznością w gliwickiej bibliotece jest kto? On, Andrzej Walter. On, jako Fotowiking Paradny ze swą żoną Jagą, jako Jutrzenką Codzienną. Ugościli nas w swoim domu w Pilchowicach przy Gliwicach, a ulica Majowa. Siedzieliśmy razem przy stole, my poeci i panie poetowe. Moja żona Krzysia – Bursztynowa Rozeta, kwiat mej miłości. Kwiat miłości Františka Všetického, żona Wiera – Czeska Niezabudka, a także kwiat miłości poety – Joasia jako Sasanka Wyśniona. Oprócz serdecznych gospodarzy towarzyszyły nam trzy psy o imionach: Stefan, Gacek i ona, Mela, a także dwa koty o imionach Leon i Bazyli. Jedliśmy razem i razem pili. Jak ten czas szybko leci, tak wszyscy mówili.

Jaki piękny dzień, co za piękny dzień, ten osiemnasty dzień czerwca, sobota. Tuż, tuż przed początkiem lata. Fotowiking Paradny i Jutrzenka Codzienna zaprowadzili nas, aby podziwiać gliwicką palmiarnię. I co? Zachwyt, zachwyt dla tej urody naszej przyrody. Zaprowadzili nas, aby podziwiać Muzeum Odlewnictwa. I co? Zachwyt dla ludzkiej pomysłowości i technicznych umiejętności. Zaprowadzili nas pod narożną kamienicę przy ulicy Króla Zygmunta Starożytnego nr 28, gdzie przez dwadzieścia lat, od roku 1949 mieszkał sławny polski poeta i dramaturg Tadeusz Różewicz.

Jak ten czas szybko leci, mówią koty, mówią psy, mówimy my, mówi wrzesień. Już za parę dni będzie złota jesień. A już pierwszego dnia jesieni, 22 września, w czwartek o godz. 18:00 we Wrocławiu przy placu Kościuszki nr 10 w Klubie Muzyki i Literatury, pod matczyną opieką Dolnośląskiego Oddziału Związku Literatów Polskich zlecą się poetki, zlecą się poeci, zleci się publiczność i wtedy rozlecą się wiersze, jak stado ptaków, by się przylulić do uszu słuchaczy. I tak to się dzieje, co kwartał, jesienią, zimą, wiosną i latem w Klubie Muzyki i Literatury pod łaskawym okiem dyrektora klubu Ryszarda Sławczyńskiego.

P.S.

Jaki piękny dzień, co za piękny dzień. Był, jest i będzie. Między Bogiem a prawdą, jak ten czas szybko leci, tak mówią do ptaków skrzydlaci poeci. Jaki piękny dzień, gdy słońce wierzchem świeci.

POEZJA

Henryk Gała, „Nie po kolei”. (Poezja, Proza, Dramat). Redaktor prowadzący: Szymon Gumienik. Projekt okładki: Krzysztof Galus. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2016, s. 134 + płyta.

Sergiusz Jesienin, „Wiersze liryczne”. Wybrał i przełożył: Andrzej Lewandowski. Projekt okładki: Łukasz Aleksandrowicz. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2016, s. 120.

Stefan Pastuszewski, „Ziarna płonące”. Ilustracje i oprawa plastyczna: Marek Chaczyk. Redakcja: Jolanta Baziak. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2015, s. 64.

Jerzy Plutowicz, *Krąg*. Projekt okładki i stron tytułowych Agnieszka Sitko. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 129. Instytut Mikołowski, Mikołów 2016, s. 68.

Małgorzata Południak, *Mullaghmore*. Zdjęcie autorki Grzegorz Majchrzak. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *tablice*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin, Bezzecze 2016, s. 68.

Katarzyna Turaj-Kalińska, *Szept nad szeptami*. Projekt okładki, projekt graficzny serii Magda Dębicka. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Kraków 2016, s. 96.

Maciej Wilf, „Chwila”. Redakcja, posłowie, projekt graficzny oraz zdjęcia na I i IV stronie okładki: Andrzej Dębkowski. Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2016, s. 64.

Jarosław Zalesiński, *Wiersze Ostateczne*. Projekt okładki Sławomir Witkowski. Na okładce wykorzystano rysunek Sławomira Witkowskiego *Gladiator*. Fotografie Maja Zalesińska. Wydawnictwo „Tytuł” Krystyna Chwin, Gdańsk 2015, s. 96.

Waldemar Żyszkiewicz, *Taki lajf. Tejk 7.0*. Zdjęcie na i stronie okładki Waldemar Żyszkiewicz. Portret autora na iv stronie okładki Marcin Żegliński. *Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”*, tom 124. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2016, s. 56.

PROZA

Jerzy Alski, „Trzecie oko”. Redakcja: Barbara Anna Dominiak, Krystyna Kamińska. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Oddział w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wielkopolski 2016, s. 392.

Janos Hay, *Syn ogrodnika*. Przełożyła Karina Ślęzak. Projekt graficzny okładki Justyna Boguś. Zdjęcie na okładce Jelena Simic Petrovic/Arcangel. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 258.

Józef Hen, *Powrót do bezsennych nocy. Dzienniki*. Projekt graficzny okładki Monika Drobnik-łocińska. Zdjęcie na okładce Maciej Hen. Wydawnictwo Sonia Drąga, Katowice 2016, s. 298.

Franz Kątko, *Opowieści i przypowieści*. Przełożyli Lech Czyżewski, Roman Karst, Alfred Kowalski,

Juliusz Kydryński, Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska, Anna Wołkowicz, Jarosław Ziółkowski. Posłowie Karol Sauerland. Na okładce wykorzystano rysunek Franza Kafki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2016, s. 632.

Wojciech Kłęczar, *Wielopole*. Zdjęcie autora i zdjęcie na okładce Joanna Borgiel, Fly Photography. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin, Bezzecze 2016, s. 96.

Rafał Kosik, *Amelia i Kuba. Stuoki Potwór*. Ilustracje Jakub Grochola. Projekt graficzny i okładka Rafał Kosik. Powergraph, Warszawa 2016, s. 270.

Patrick Modiano, *Żebyś nie zgubił się w dzielnicy*. Przełożyła Bożena Sęk. Projekt graficzny okładki Mariusz Banachowicz. Wydawnictwo Sonia Drąga, Katowice 2016, s. 178.

Christoph Ransmayr, *Atlas lękliwego mężczyzny*. Przełożył Jacek St. Buras. Ilustracja na okładce Wojtek Świerdzewski. Opracowanie graficzne Artur Burszta. Seria *Proza*, tom 38. Biuro Literackie, Wrocław 2016, s. 336.

Kamil Sipowicz, *Ramona, Mila, Bobo i pięćdziesiąt sześć innych zwierząt*. Ilustracje Olga Sipowicz. Projekt graficzny Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2016, s. 156.

Elizabeth Strout, *Mam na imię Lucy*. Przełożył Bohdan Maliborski. Projekt okładki Greg Mollica. Opracowanie graficzne okładki Janusz Staszczuk. Zdjęcie na okładce Matt Mawson/Getty Images. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 208.

Elżbieta Turlej, *Love. Inne historie miłosne*. Projekt okładki Ania Kowalska. Zdjęcie na okładce Jitka Saniova / Trevillion Images. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 240.

Kurt Vonnegut, *Gdy śmiertelnicy śpią*. Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz. Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz, Warszawa 2016, s. 336.

Miłosz Waligórski, *Kto to widział*. Zdjęcie autora Anna Waligórska. Obraz na okładce Jan Skolimowski. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berez, Szczecin, Bezzecze 2016, s. 136.

Tim Weaver, *Zniknęli na zawsze*. Przełożył Jan Kruk. Zdjęcie na okładce Neil Holden / Arcangel Images. Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz, Warszawa 2016, s. 544.

Sylvia Zientek, *Podróż w stronę czerwieni*. Projekt okładki Marta Frej. Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2016, s. 416.

NAUKA, SZTUKA KULTURA,

Małgorzata Czyńska, „Kobiety Witkacego. Metafizyczny harem”. Projekt okładki: Monika Klimowska. Opracowanie typograficzne: Monika Stojek /

m&m manufaktura. Fotografia na okładce: *Potwór z Düsseldorfu*, 1932. Inka Turowska i Witkacy, z kolekcji Stefana Okołowicza, negatywy z archiwum Grzegorza Grabskiego. Fotoedycja: Krzysztof Zieliński. Opieka redakcyjna: Dorota Gruszka. Adiustacja: Ewdokia Cydejko. Indeks: Małgorzata Biernacka. Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 334.

Wasył Machno, *Express „Venezia”*. Przełożył Bohdan Zadura. Fotografia autora Milena Androschuk. Na okładce wykorzystano fotografię Adama Sikory. Projekt okładki i stron tytułowych Agnieszka Sitko. *Biblioteka Arkadii, Pisma Katastroficznego*, tom 128. Instytut Mikołowski, Mikołów 2016, s. 302.

Emil Marat, Michał Wójcik, *Ostatni. Historia cichociemnego Aleksandra Tarnowskiego ps. „Upłaz”*. Projekt okładki Tomasz „Waciak” Wójcik. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 312.

Agnieszka Necka, *Polifonia. Literatura polska początku XXI wieku*. Zdjęcie na okładce Agnieszka Julia Szymala. Projekt okładki, stron tytułowych i działowych Konrad Mottoch. Projekt typograficzny Paulina Dubiel. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2015, s. 232.

Obrażenia. Pobici z Polską. Projekt okładki Ania Kowalska. Zdjęcie na okładce Jakub Dąbrowski. Wielka Litera, Warszawa 2016, s. 222.

Maria Anna Potocka, *Nowa estetyka*. Projekt graficzny serii Grzegorz Laszuk. Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2016, s. 212.

Aleksander Przybylski, *Literacki almanach alkoholowy*. Projekt graficzny Grzegorz Cofta (Pracownia). Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2016, s. 384.

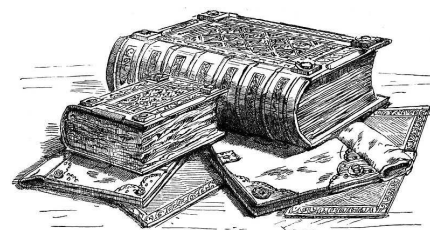
Piotr Seweryn Rosół, *Genet Gombrowicza. Historia miłosna*. Ilustracje Karol Radziszewski. Projekt typograficzny Joanna Kwiatkowska. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2016, s. 464.

Adam Sisman, *John le Carre: Biografia*. Przełożyli Zofia Szachnowska-Olesiejuk i Adam Olesiejuk. Wydawnictwo Sonia Drąga, Katowice 2016, s. 838.

Justyna Sobolewska, *Książka o czytaniu*. Opracowanie graficzne Andrzej Barecki. Zdjęcie autorki na obwolucie Szymon Szcześniak. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2016, s. 244.

Sposób życia. Z Pawiem Hertzem rozmawia Barbara N. Lopińska. Opracowanie graficzne Andrzej Barecki. Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2016, s. 256.

Andrzej Strzelecki, *Człowiek z parawanem*. Opracowanie graficzne Andrzej Barecki. Zdjęcie na okładce G-M Studio Jerzy Malinowski. Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2016, s. 332.



100. rocznica urodzin Juliana Kawalca

11 października przypada 100. rocznica urodzin **Juliana Kawalca**. Urodził się we wsi Wrzawy niedaleko Sandomierza. Był synem Józefa i Stanisławy z domu Bobek – małorolnych chłopów. Po ukończeniu pięciu klas wiejskiej szkoły powszechnej rozpoczął naukę w ośmioklasowym Gimnazjum Humanistycznym w Sandomierzu. Było to możliwe dzięki ogromnemu wysiłkowi rodziców oraz tzw. świadectwu ubóstwa, które uprawniało do zniżek w opłatach za naukę.

W 1935 roku po zdaniu matury rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W czasie nauki utrzymywał się, udzielając korepetycji z języka łacińskiego i niemieckiego. Związał się z ruchem ludowym. Należał do Polskiej Akademickiej Młodzieży Ludowej – PAML. W 1938 roku był członkiem zarządu tej organizacji.



Foto: <http://www.up.krakow.pl/konspekt/20/rozmowa20.html>

Julian Kawalec

Wojna zmusiła go do przerwania studiów. W czasie okupacji przebywał w rodzinnych stronach. Współpracował z ruchem oporu, organizował tajne nauczanie. Poszukiwany przez gestapo musiał się ukrywać. Po wyzwoleniu terenów na wschód od Wisły, jesienią 1944 roku został skierowany przez kolegów z organizacji „Wieś” do pracy w

Polskiej Agencji Prasowej „Pol-Pres” w Lublinie, gdzie pełnił funkcję korespondenta wojennego.

Jesienią 1945 roku wrócił do Krakowa z zamiarem kontynuowania przerwanych studiów. W 1946 roku rozpoczął pracę dziennikarską w prasie krakowskiej, a następnie w Polskim Radiu. Ukończył studia, uzyskując absolutorium na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Pracę literacką rozpoczął w 1957 roku tomikiem opowiadań *Ścieżki wśród ulic*. Wydał 22 książki, zbiory opowiadań oraz dwa tomiki poezji. Przetłumaczono je na ponad 20 języków. Najwięcej tłumaczeń miały powieści: *Ziemi przypisany*, *W słońcu*, *Tańczący jastrzęb*, *Wezwanie*, *Przepłyniesz rzekę*, *Szara aureola*. W powieści biograficznej *W gąszczu bram* zamieścił m.in. wspomnienia z okresu nauki w sandomierskim Gimnazjum. W 1999 roku wydał utwór pt. „Harfa Gorców”. Na podstawie powieści powstały filmy, sztuki teatralne oraz liczne słuchowiska radiowe.

Należał do Związku Literatów Polskich (od roku 1960) oraz międzynarodowej organizacji pisarzy PEN-CLUB i Stowarzyszenia Kultury Europejskiej SEC. W latach 1986-1989 był członkiem Ogólnopolskiego Komitetu Grunwaldzkiego. Zmarł 30 września 2014 r. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Uhonorowany licznymi nagrodami: Nagrodą Państwową I i II stopnia (1976, 1986), Nagrodami Ministerstwa Kultury i Sztuki (1967), wydawców, kilkakrotnie czytelników – „Złoty Kłos” (1968, 1971, 1973 i 1978).

Odnaczony m.in. Krzyżami kolejno: Kawalerskim, Oficerskim (1964), Komandorskim (1986) i Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (w 2000), Orderem Sztandaru Pracy I klasy (1976), Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” (2009) oraz Orderem Ecce Homo przyznawanym ludziom różnych narodowości, wyznań i poglądów za ich humanistyczną postawę i pracę dla dobra bliźnich.



Noty Opinie Poglądy

(...) „Matura i wyjazd z Kielc na studia nie przerwały kontaktów między pierwszoplanowymi postaciami tej romantycznej historii. Adolf Sowiński, Julian Rogoziński i Gustaw Herling-Grudziński spotykali się w redakcjach warszawskich pism, z którymi współpracowali, najpierw w „Kuźni Młodych”, potem w „Orce na Ugorze” i w „Ateneum”. Julek Rogoziński w 1938 roku został sekretarzem w redakcji „Ateneum”, dwumiesięcznika wydawanego i redagowanego przez Stefana Napierskiego (właśc. Stefana Marka Eigera). Do jego głównych zadań należało porządkowanie i katalogowanie fantastycznego księgozbioru szefa, co nieraz zajmowało mu czas do późnych godzin nocnych. Lala często zaglądała do redakcji, ponieważ praca Julka nieco ją niepokoiła. Napierskiego, nieprzyzwoicie bogatego syna łódzkiej fabrykantów, byłego już wtedy męża Ireny Tuwim, brzydała, ale czarującego erudyty i konesera sztuki, znano w stolicy ze skłonności do ładnych chłopców. Jeśli Gustaw czasem spotykał tam kielecką mużę, nie robiło to już na nim dużego wrażenia. Kochał się teraz w Krzysiu Broniatowskiej, studentce Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej – **pisze Irena Furnal w kwartalniku „LiryDram” (numer 11/2016)**.

Wiele lat po wojnie, kiedy żar młodych serc dawno wystygł, w neapolitańskiej willi dwaj panowie, którzy przekroczyli „smugę cienia”, przy butelce nostalgicznie wspominali... Czy pensjonarkę wspólnie darzoną uczuciem, która obu ich odrzuciła? Prawdopodobnie tak, choć na pewno wiemy tylko, że kielecko-szkolne czasy, młodzieńcze fascynacje, *przedwojenne fiksjacje uczniów gimnazjum jego* [Żeromskiego] *imienia*, jak ujął to Gustaw Herling-Grudziński w *Dzienniku pisanym nocą*. Jego gościem był dawny kolega gimnazjalny Adolf Sowiński, emigrant, który po 1945 roku mimo lewicowych sympatii nie potrafił się odnaleźć ani w Polsce, ani nigdzie na świecie. Więc *plynęli przez dna wspomnień dzieciństwa, gdzie smok szkód nie czyni* – tak przed wojną jeszcze napisał Adolf w drukowanym na łamach „Ateneum” wierszu *Anioł*. Jakiś czas po tej wizycie zmarł na „ostry atak nostalgii”, jak twierdził autor *Dziennika*. Prawda była nie tak patetyczna i bardziej dotkliwa: samotny, bez dachu nad głową, ciężko chory, uzależniony od alkoholu i morfiny, dręczony delirycznymi zwidami, umierał w wiedeńskim parku, skąd w 1963 r. przywiózł go do kraju przyjaciel, krytyk literacki Ryszard Matuszewski, by mógł spocząć w rodzinnej ziemi. Więcej nie dało się już nic zrobić. Jego nieugruntowana przed wojną sława również przeminęła.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.